

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

I. DZIECINSTWO. MŁODOŚĆ. PRACA

Urodziłem się 28 września 1881 r. na Piaskach w Kórniku. Ojciec mój, Antoni, był z zawodu cieślą; matka, Agnieszka z domu Ziętek, pochodziła z Czerleja koło Środy z pracowników dworskich. Matka była usposobienia bardzo łagodnego, wysoka i ładna. Ojciec był bardziej stanowczy. Z rodzeństwa ich pamiętam siostrę ojca, niezamężną, która pod koniec życia zamieszkiwała w Kórniku u sióstr przy ulicy Średzkiej w tzw. „klasztorku”. Gdy zmarła, pochowano ją w ubiorze białym, „czeku”¹, tj. w szacie prostej bez kroju. Ojciec zmarł w 1926 r., w wieku lat 90; matka miała lat 71, gdy zmarła. Ojciec mój pracował u majstrów kórnickich. Domu, w którym rodzice mieszkali na Piaskach, już nie ma. Był to bardzo kruchy domek; przez 15 lat narzekali ludzie, że się łaďa moment zawali; tak też się stało: ledwie się z niego wszyscy wyprowadzili, runął. Stał on obok tego budynku, gdzie dziś mieszka Wesołek², naprzeciw mieszkania Antkowiaków³. Stamtąd przenieśli się rodzice do miasta; mieszkanie zmieniali kilkakrotnie, ostatnie było w rynku, gdzie teraz mieszka stary pan Jachnik⁴.

Gdy byłem jeszcze zupełnie mały, chodziłem do ochronki w domu sióstr, do „klasztorku”⁵. Mieszkali tam też moi przyszli teściowie, starzy Konieczni. W domu tym „straszyło”, w dzień Zaduszny słychać tam było

Części przypisów, mimo usilnych starań, nie dało się ustalić. Wszystkim, którzy pomogli mi w tej pracy, składam na tym miejscu serdeczne podziękowanie. Przypisy zebrane przez pracownika Biblioteki p. Leona Maćkowiaka, oznaczam literami [L.M.]. Wiadomości związane z Zakopanem nadesłała p. Teresa Koczorowska [T.K.].

¹ S. Linde, *Słownik języka polskiego*, Lwów 1854, t. I, oraz J. Karłowicz, A. Kryński, W. Niedźwiecki, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1900, t. I, nie podają wyrazu *czek* lub *czeko* w tym znaczeniu, tylko *czecheł*, *czechło*.

² Ul. Średzka nr 179a [L.M.].

³ Ul. Parkowa nr 16. Jan Antkowiak (1868—1932), kowal. Wykonał do kościoła tutejszego piękną kutą kratę własnego pomysłu [L.M.].

⁴ Rynek, dziś plac Niepodległości 134 [L.M.].

⁵ Ul. Średzka nr 15 [L.M.].

jęki i pukania. Ale ja tego nie słyszałem. W ochronce opiekowała się nami jedna z siostr. Miała ona muszelkę podwójną z zawiaskami, kładła nią, zamiast dzwonić, a dzieci się zbierały. Ochronka urządzona była w dużym pokoju od strony ogrodu; było tu zupełnie inaczej, niż się teraz widzi po ochronkach. Pokój w dwóch trzecich zajęty był przez szerokie schody, które szły prawie do sufitu; na tych schodach siedziały dzieci i słuchały opowiadań. A gdy nadchodziła godzina snu, nie kładły się, tylko sobie podkładały poduszeczkę na wyższym stopniu pod głowę i tak na siedząco spały. Te podusieczki zawsze przynosiliśmy ze sobą. Nasza nauka trwała trzy godziny do południa i po południu od 2 do 5, w tym godzina snu po obiedzie. Uczyla nas siostra śpiewu kościelnego i narodowego i deklamacji. Zapamiętałem początek jednej śpiewki: „Nie na miasto w próżne strony, ale prosto do ochrony...” Na spacery chodziliśmy w pole, najczęściej w stronę młyna. Ja byłem i w ochronce, i później w szkole ogromnie nieśmiały, ale inne dzieci były żywe i wesole.

U sióstr był też szpitalik pod opieką doktora Tezława ⁶ i żydowskiego doktora Ungera ⁷. Doktor Tezław znany był jako lekarz bardzo troskliwy dla chorych, opiekun prawdziwy, wielu leczył bezpłatnie, bardzo zacny człowiek i wielki patriota. Doktor Unger był także bardzo uczciwym człowiekiem, dobrym lekarzem. Polakom był bardzo przychylny.

Do szkoły początkowo chodziłem w Kórniku. Tylko jeden z nauczycieli, pan Szatkowski ⁸, był Polakiem; nauczycieli Niemców było pięciu. Bardzo dobry był pan Uliczke ⁹, sprawiało mu przyjemność częstować mnie jabłkiem. Inny, pan Gluschke ¹⁰, ożenił się z Polką Hoffmannówną, córką budowniczego w Kórniku ¹¹. Hoffmannówna była bardzo ładną panną. Ten pan Gluschke był hakatystą, germanizował i walczył z religią, chociaż sam był deutsch-katolikiem. Ale myśmy się nie dawali; walka była zacięta, dzieci bite i katowane. Najwięcej z nauczycielstwem niemieckim walczyli Przychodczy ¹² i Robińscy ¹³; urządzali im różne figle, nieraz bardzo złośliwe, ale nigdy się nie dali złapać.

⁶ Wincenty Tezław (w aktach miejskich „Tetzlaff” 1861—1907), lekarz w Kórniku [L.M.].

⁷ Hermann Unger, ur. 23 X 1860 r. Do Kórnika przybył jako lekarz z Czarnkowa w 1892 r., wyjechał w r. 1902 [L.M.].

⁸ Jan Szatkowski był nauczycielem w Kórniku od r. 1880, z Kórnika przeszedł do Jarocina. Zm. w r. 1917.

⁹ W aktach miejskich „Ulitzke”; po nim przyszedł Gluschke [L.M.]. Uliczke był pochodzenia polskiego, wywodził się ze Śląska.

¹⁰ Józef Gluschke, ur. 1 IV 1866, kierownik szkoły w Kórniku od r. 1893. Wyjechał z Kórnika w r. 1921 [L.M.].

¹¹ Józef Hoffmann, budowniczy, ur. 15 III 1849, zm. 20 VII 1902 [L.M.].

¹² Rodzina Przychodzkich, rolników, notowana w Kórniku od drugiej

Najpiękniej się zachowywały i najdzielniej walczyły dwie siostry Filarówny, Jadwiga i Zosia, ładne i zdolne, zwłaszcza Zosia. Kiedy im nauczyciel dawał niemiecki katechizm, nie wzięły go gołą ręką, ale przez fartuszek; były też bite i katowane. Społeczeństwo polskie pomagało dzieciom w tej walce, jak mogło. Rodzice urządzali dwa, trzy razy do roku majówki; w głębi lasu ustawione były ławki, dzieci dostawały dobre jedzenie, później szły z lampionami na probostwo; tam na podwórzu było podwyższenie, siedział proboszcz, schodzili się lekarze, a dzieci deklamowały i śpiewały pieśni polskie.

Klas było siedem. Z nauką niemieckiego było jednak kiepsko. Pewien profesor z Krakowa, który pracował tutaj wtedy nad naszymi rękopisami, wyszedł sobie raz pospacerować po rynku i spotkał dziewczęta ze szkoły śpiewające po niemiecku. Poprosił je, żeby przetłumaczyły to, co śpiewają — nie umiały. Profesor mówił, że Niemcy nie mogą dzieci zgermanizować, bo mają złą metodę: dzieci uczyły się na pamięć, ale nie rozumiały tego, co mówią, i prędko wszystko zapominały.

Nauka, oprócz niemieckiego, szła mi dobrze. Rodzeństwo moje też uczyło się nieźle. Było nas razem sześcioro: najstarszy Michał, potem Maria, potem ja, dalej Jan, Antonina i Stefan. Jan miał duże zdolności do malowania; uczył się u jednego Niemca w Swarzędzu malarstwa dekoracyjnego i pokojowego; malował też obrazy religijne. Miałem malowany przez niego obraz *Pielgrzym u stóp Chrystusa*. Ten obraz zawsze dawałem na Boże Ciało do ołtarza, podobał się. Ofiarowałem go później jako prezent ślubny mojej córce Walentynie Skrzypczakowej do Kościana, tam został do wybuchu wojny i zaginął — zabrali go Niemcy, którzy zajmowali ich mieszkanie.

Brat Jan pracował stale w Poznaniu; zginął jako żołnierz pod Verdun w 1914 r., zostawił żonę i syna Bolesława, który jest z zawodu drukarzem. Jan umiał też rzeźbić, zrobił własne popiersie. Był bardzo podobny do matki, z wyglądu i z charakteru, odznaczał się dobrocią. Brat Michał, z zawodu murarz, chorował długi czas, bo spadł z rusztowania; zmarł w 1923 r. Podobny był do ojca, ale charakter miał matki, nigdy się o nic nie gniewał. Marynia, tak jak i on podobna do ojca, ale z charakteru do matki, była bardzo miłosierna, dzieliła się wszystkim, co miała, z potrzebującymi. Była pracownicą domową; później prowadziła własną jadłodajnię w Poznaniu, na ulicy Dąbrowskiego. Pomagała jej siostra Antosia. Miały się dobrze, bo kupowały tanio produkty na Rynku Je-

połowy XIX w. [L.M.]. We *Wspomnieniu* chodzi o czterech braci, synów Leona Przychodzkiego, weterana z powstania styczniowego.

¹³ Rodzina Robińskich wywodzi się z Francji, skąd wywędrowała w czasie prześladowania kalwinów. Dawne nazwisko Robin zmienili im właściciele Kórnik na Robiński [L.M.].

życkim; obiady dawały po jednej marce, ale opłacało się. Obie siostry lubiły szyc i zarabiały sobie też szyciem. Antosia prowadziła dłuższy czas dom u państwa Leitgebrów w Poznaniu. I ona była podobna do matki, wysoka i ładna tak jak Jan. Zmarła w Kórniku w 1946 r. Brat Stefan, z urody do matki podobny, miał zmysł do interesów bardziej od nas wszystkich, najwięcej się też po świecie nawędrował. Najpierw mieszkał w Kaliszu i handlował zbożem; w roku 1920 walczył pod Lwowem, ożenił się koło Konina w Średnich Kaczkach i po pierwszej wojnie wyjechał do Francji, do krewnych żony; miał tam skład kolonialny. Po ostatniej wojnie prowadził skład kolonialny w Poznaniu. Obecnie jest urzędnikiem. Ma dwie córki.

Ja też wrodziłem się w matkę.

Gdy ukończyłem dziesiąty rok życia poszedłem do pasenia krów do nauczyciela Kowalskiego w Robakowie, a po dwóch latach do gospodarza Staniszewskiego. Równocześnie chodziłem też do szkoły. Nauka była mniej więcej taka, jak w Kórniku, tylko że wszystkie oddziały uczyły się równocześnie. I tutaj musieliśmy mówić pacierz po niemiecku. Nawet pieśń „Ciebie, Boże, chwalimy...” też śpiewaliśmy po niemiecku: „Gott, ich lobe dich...” Po następnych dwóch latach wyszedłem ze szkoły i odszedłem od Staniszewskiego. Poznałem wtedy, że jestem do innych rzeczy stworzony, i nie chciałem już tak jak dotąd pracować.

Kiedy skończyłem siedem klas, doktor Tezław namawiał bardzo, żeby mnie matka dalej uczyła, ale matce było zbyt ciężko. Miałem wtedy lat 14. Zgłosiłem się zaraz do pracy przy koniach na Celestynowie, musiałem pomagać rodzinie. Rzemiosła uczyć się nie chciałem, bo bałem się tej nauki. Tam, gdzie obecnie jest „Rolnik”, była wtedy ślusarnia i kuźnia, źle się w niej obchodzono z uczniami i to mnie wystraszyło. Była to wielka ślusarnia, przysyłano do niej części maszyn z fabryk, tutaj te maszyny montowano, a potem wystawiano w czasie targów na placu między ratuszem a kościołem. Była to firma „Pług”. Dom w rynku¹⁴, znany pod tą nazwą, był składem, ale oprócz żelaznych były tam wszelkiego rodzaju materiały. Skład bławatów prowadziły w „Pługu” siostry żony doktora Celichowskiego, córki nauczyciela Zimnego z Bnina.

Celestynowo, dokąd poszedłem po ukończeniu szkoły, było własnością probostwa. Proboszczem był wtedy ksiądz Rybicki¹⁵, a gospo-

¹⁴ Rynek, dziś plac Niepodległości 169 [L.M.].

¹⁵ Ks. prepozyt Bronisław Rybicki (1848—1928), syn Jana i Katarzyny z Kurpińskich, proboszcz kórnicki od r. 1886. Nieugięty bojownik za wiarę i polskość w czasach Kulturkampfu, więziony przez 9 miesięcy w Szamotułach [L.M.]. Zorganizował w Kórniku tajny Klub Młodzieży, w którym wraz z wikarym ks. Nowakiem uczył młodzież języka polskiego i historii.



Stanisław Małeckie .

darke w Celestynowie prowadził jego brat. Dostałem tam parę koni, orałem, włóczyłem i siałem. Lubiłem bardzo pracę na roli, zwłaszcza ogrodnictwo; pracowałem tam przez rok, później poszedłem na Prowent. Wpłynął na to ksiądz Rybicki, a na niego doktor Tezlaw, który mnie bardzo lubił.

Ksiądz Rybicki był już stary. Chrzcił on w Kórniku trzy pokolenia. Miał ciekawe usposobienie. Nie znosił babskich plotek i siostra jego, która mieszkała na probostwie, nie mogła nigdy do siebie znajomych pań zaprosić, chyba jak go nie było w domu, tak go ich opowiadania drażniły. Ostro z ambony piętnował złe uczynki i kłótnie. Pewnej żonie, co się stale z mężem kłóciła, powiedział z ambony bajkę *Golono, strzyżono*. Wszyscy się domyślili, o kogo to chodzi. Trzymał ksiądz Rybicki parafię surowo, a najbardziej walczył z pijaństwem, na ambonie i przy każdej okazji. Pomagali mu w tym lekarze, którzy mieli często pogadanki przeciwalkoholowe. Było ono wtenczas tak wielkie, że wiele gospodarstw szło na subhastę. Zamoyski skupował te gospodarstwa, żeby nie przechodziły w ręce niemieckie.

Było tu też dużo knajp, prawie w co drugim domu. Jenerałowa Zamoyska, chcąc odciągnąć ludzi od pijaństwa, wybudowała dla mieszczan około 1890 r. Dom Przemysłowców w podwórzu, gdzie mieszkał pan Czachowski¹⁶. Od frontu mieściła się kawiarnia, po drugiej stronie czytelnia, w sali był bilard. Była to duża sala z wielkimi oknami. Przemysłowcy mieli tam swoje zebrania, także sokoli; była tam też sala gimnastyczna. Tam urządzano przedstawienia; jedno szczególnie silne wrażenie na mnie zrobiło — *Pochód na Sybir*. Grali ludzie z miasta. Do najlepszych artystów amatorów tych doskonałych przedstawień należeli: stolarz Zwierzyński¹⁷, Stanisław Der¹⁸, Robińscy, Przychodzczy. Robińscy byli odważni i dowcipni. Jeden z nich, wzięty do wojska w czasie pierwszej wojny światowej, przysłał kartkę, na której narysował koszulę żołnierską pokrytą masą wszy i napisał odpowiedni wierszyk, zakończony słowami: *Deutschland, Deutschland unter alles*.

Kawiarnię przy Domu Przemysłowców prowadziła pani Filarowa,

¹⁶ Rynek, dziś plac Niepodległości 127 [L.M.].

¹⁷ Wacław Zwierzyński, syn Jana i Marii z domu Zobel, ur. 7 IX 1889 r., stolarz, pochodzi z rodziny osiadłej w Kórniku od trzech pokoleń. Brał udział jako aktor w przedstawieniach amatorskich, urządzanych na cele społeczne przez różne bractwa i stowarzyszenia. Grano sztuki: *Chata za wsią*, *Karpaccy górale*, *Krakowiacy i Górale* i wiele innych.

¹⁸ Stanisław Der (1871—1946), syn Wojciecha i Tekli z Jachowskich, stolarz-konserwator, członek Stowarzyszenia Przemysłowców. Prowadził po p. Filarowej kawiarnię w Domu Przemysłowców; był aktorem i reżyserem amatorskich przedstawień kórnickich. Rodzina Derów wywodzi się według tradycji z Holandii, być może z czasów kolonizacji holenderskiej Teofili Szoldrskiej w pierwszej połowie XVIII w.

matka Jadwigi i Zosi, o których już wspomniałem. Prowadziła też kuchnię w oficynie przy zamku. Była to jedna z pierwszych uczennic jenerałowej Zamoyskiej, bardzo dzielna osoba. Oprócz córek miała jeszcze syna, który był w wojsku, a później został oficerem wojsk polskich. Stary pan Filar był rolnikiem, dzierżawił po Wawrzynkiewiczzu tzw. Górkę, którą wykupiła pani Jenerałowa, aby pobudować tam szpital i dom większy dla sióstr, a pani Filarowej po śmierci jej męża oddała prowadzenie kawiarni przy Domu Przemysłowców. Dom Przemysłowców był dla Kórnicka prawdziwym domem kultury. Ludność tutejsza dużo mu zawdzięczała. Przyczynił się też niemało do utrzymania polskości. Toteż niedobrze się stało, że budynek z taką tradycją już za czasów Fundacji przerobiono na mieszkania prywatne i sprzedano.

Budowę Domu Przemysłowców zajmował się z wielką gorliwością dr Celichowski¹⁹. Równocześnie miał budować klaszorek na Górcę, ale do tej budowy mniej się przykładał. Aż pewnego razu, nim jeszcze sala była gotowa, bo stały tam tylko mury bez dachu, uderzył w nią w czasie burzy piorun. Celichowski przeraził się i czym prędzej wybudował klaszorek, ale podobno mniejszy, niż był zamierzony.

Moja matka też miała z tym klaszorkiem przygodę. Gdy jeszcze rodzice mieszkali na Piaskach, przysłała raz do nich jakaś kobieta, ubrana dobrze, z tobołkiem, i zażądała, żeby matka poszła na zamek i przypomniała, że tam jest legat na budowę klasztoru na Górcę. Do spania kazała sobie rozłożyć na podłodze garść słomy, a na kolację poprosiła o polewkę i strucelek — to była taka pleciona bułka za 5 fenigów. Rano powtórzyła żądanie, że tam na Górcę mają budować klasztor, i odeszła. Ale moja matka nie poszła z tym do zamku, dopiero jak zaczęli już budować, to jej się ta historia przypomniała.

Po wybudowaniu nowego domu dla sióstr Jenerałowa wykupiła jeden dom przy ulicy Strzeleckiej²⁰ za 7 tysięcy marek, aby tam przeprowadzić bliższe przejście między ulicą Kościelną a Górką dla sióstr, które chodziły do kościoła, i dla dzieci z ochronki. Dom należał do Kuberackiego²¹, płóciennika; zajmował się on oprócz swojego rzemiosła także rwaniem zębów. Rwał zęby zwykłymi obcęgami, które owijał płótnem.

Po wojnie skasowano przejście prowadzące przez ten dom, chociaż była tam zaplanowana szersza droga. Wielka to szkoda, że nie dopil-

¹⁹ Zygmunt Celichowski (1845—1923), syn Antoniego i Emilii z Jezierskich. Od r. 1869 był bibliotekarzem, od r. 1876 plenipotentem Jana Działyńskiego. Por. J. Grycz, *Bibliotekarze kórnickcy w „Pamiętniku B. K.”*, 1929, z. 1, oraz biografia w *Polskim słowniku biograficznym*, t. 3, Kraków 1937, napisana przez S. Bodniaka.

²⁰ Dziś ul. Wojska Polskiego nr 215 [L.M.].

²¹ Antoni Kuberacki, syn Ignacego.

nowano starego planu, bo teraz małe dzieci, chodzące do sióstr do przedszkola, muszą iść tylko drogą, która nie ma chodnika i jest wąska. Jakby tam tak jechały z Górki konie, a jeszcze się zestrząsły, to mogłyby być wielkie nieszczęście z dziećmi.

Od 1 stycznia 1897 r. poszedłem na Prowent²². Początkowo miałem iść do ogrodnika, bo do tego miałem większą chęć, ale dr Celichowski rozmyślił się i wziął mnie do siebie, do pomocy w bibliotece. Była wtedy w Kórniku na przechowaniu biblioteka batignolska²³, mieściła się w dużym budynku na Prowencie, zajmowała osiem pokoi; trzeba je było stale wietrzyć, okna otwierać. Przynosiłem też książki z oficyny nad jeziorem, gdzie na dole mieściły się nakłady; na górze, w sali z galerią, była geografia, języki obce i obca historia, za galeryjką archiwum, a pod galerią zbiory australijskie i wszelkie obce, także numizmatyka. W pawilonie w parku mieściła się biblioteka wojskowa, gospodarcza, medyczna, tam też leżały stare księgi katalogowe.

Oprócz sprzątania pakowałem paczki i odnosiłem listy i paczki na pocztę. Pracowałem od 6 rano do 10 wieczorem. Na Prowencie był jeden pokój cały wypełniony gazetami: „Kurierem Poznańskim” i „Dziennikiem Poznańskim”. Układałem je rocznikami. Utrzymywałem też porządek na biurku dra Celichowskiego, kładłem mu świeże dzienniki.

Dr Celichowski prowadził bardzo wyczerpujący tryb życia, chociaż nie był już silny. Często wyjeżdżał do Poznania, wracał późno i dopiero siadał do obiadu, ale jeszcze i wtedy przeszkadzali mu interesanci, rzucał obiad, załatwiał sprawy i potem dopiero wracał do jedzenia. Naparzyłem się na to nieraz. A jak miał wolną chwilę, to ją poświęcał bibliotece. Raz zachodzę do biblioteki w parku — miałem swój klucz, a dr Celichowski swój — patrzę, siedzi tam i książki z pyłu ociera, chociaż to do niego nie należało. W ogóle pracy w bibliotece miał dużo. Nie wziął jednak starszego stałego pracownika, tylko brał do pomocy studentów; w czasie wakacji było ich zawsze 2 albo 3 na Prowencie. Zatrudniał ich przy kopiowaniu rękopisów; robili też wyciągi z książek dla dra Celichowskiego lub do swoich prac; nosiłem im te książki. Był też raz artysta malarz, on też przepisywał książki noszone z Prowentu, były to stare druki. Nosiłem też dla dwóch szwedzkich oficerów druki z czasów Karola XII; wybrali oni miejsca do odpisania, a dr Celichowski

²² Prowentem nazywano zespół budynków gospodarskich i administracyjnych na tzw. półwyspie w kierunku Bnina.

²³ Biblioteka Szkoły Polskiej w Batignolles, przywieziona w r. 1874 z Paryża w 134 pakach; na osobny magazyn dla niej przerobiono dawniejszy spichlerz na Prowencie. Przekazana została po odzyskaniu niepodległości Bibliotece Uniwersyteckiej w Wilnie i Bibliotece Narodowej w Warszawie. Por. dzieje tej biblioteki w: H. Więckowska, *Rękopisy, batignolskie Biblioteki Narodowej*, Warszawa 1932.

kazał to kopistom wykonać i posłał im do Szwecji. Nazwiska tych studentów-kopistów i malarza powinny być w notatkach dra Celichowskiego²⁴. Co prawda po jego śmierci pani Celichowska z córkami spaliła niejedno, między innymi całe kartonowe pudło listów od Jana Działyńskiego, które go według jej zdania kompromitowały; mogła się jednak nie znać, bo była kobietą niewykształconą, a Jan Działyński na pewno w różnych sprawach pisywał.

Dr Celichowski miał trzech synów i sześć córek; najstarsza zmarła wcześniej. Było tam wesoło na Prowencie, jak panny były na wydaniu. Był tam też nieraz wielki ruch gości z okolicy, bo Celichowski urządzał co roku duże i ciekawe wystawy ogrodnicze i rolnicze, bardzo pouczające dla rolników.

Urzędników lubił brać kawalerów; dostawali oni na śniadania na cały miesiąc kawę mieloną, cukier, co dzień śmietankę do kawy i bułki oraz spirytus do maszynki; wszystko to miał w opiece i wydawał w zamku stary Marcin Frąckowiak, który pracował tu przez czterdzieści lat, jeszcze od czasów Jana Działyńskiego. Obiady i kolacje jadano w kuchni; kuchnia była bardzo dobra, a jak komu nie smakowało, to szedł do restauracji i kasa mu za obiad zwracała. Burgrabia zamku, Rychter, stary kawaler, skarżył się na kuchnię, więc pani Celichowska przysyłała mu z własnej kuropatwy i przepiórki. Jedzenie w kuchni dzieliło się na dwie klasy; klasa druga miała mięso tylko w niedzielę, na śniadanie polewkę lub kawę, chleba 2 bochenki na tydzień i ser. Ja też jadałem w tej kuchni, w klasie drugiej; do tego utrzymywania dostawałem płacy 9 mk na miesiąc.

Oprócz zajęć bibliotecznych kazał mi jeszcze dr Celichowski pomagać introligatorowi Marchwickiemu²⁵, nie uczyłem się jednak systematycznie, chociaż chciałem, bo nie było czasu. Marchwicki był starym człowiekiem, ale to był doskonały introligator; oprawiał stare druki, głównie broszury, dzienniki i czasopisma w półskórek, półpłótno, skórę i pergamin. Przynosiłem mu z zamku materiał introligatorski, gdzie był przechowywany. Marchwicki wykonywał wszystko ręcznie, ręcznie obcinał książki itp., toteż praca jego była ciężka. Wreszcie pogniewał się, że ma marne warunki; namówiono go w mieście, żeby własny warsztat założył, ale przynoszono mu głównie książki do nabożeństwa do oprawy,

²⁴ W archiwum Biblioteki Kórnickiej z czasów Celichowskiego (sygn. A.B. 214) znajdują się tylko dwa nazwiska alumnów Seminarium Duchownego, zaangażowanych na czas wakacji w r. 1905 do odpisywania *Aktów Tomicjanów*. Są to: A. Piekarski z Poznania i Antoni Spychałowicz z Gniezna.

²⁵ Józef Marchwicki pracował w Kórniku jako introligator od r. 1895. Wykazy Celichowskiego notują go jeszcze w r. 1901. Wcześniej, w latach 1870—1872, miał warsztat w Poznaniu i także oprawiał książki dla Biblioteki Kórnickiej (A. B. 215, A. B. 217, A. B. 218, A. B. 219).

z tego nie mógł się utrzymać. Był samotny; gdy zachorował, miasto musiało go oddać do sióstr, gdzie umarł.

Materiały introligatorskie: skórę, papiery, płótno i pergamin, sprowadzał dr Celichowski z Lipska; także maszyny zakupiono w r. 1914 w Lipsku, ale to już dla mnie, bo Marchwicki poza narzędziami ręcznymi maszyn nie posiadał; z tego powodu oprowiał w ciągu miesiąca 16—18 książek. Pracował na Prowencie kilka lat. Po jego odejściu nie było żadnego introligatora. Ale jeszcze przy nim i później wysyłaliśmy książki do oprawy do Jarocina. Stamtąd pochodzą oprawy z czerwonego półskórka, złożone, głównie czasopisma. Marchwicki złożył także bardzo ładnie. Czcionki i niektóre narzędzia po nim zachowały się do dziś. Miał ładny kamień do ostrzenia noży, który stał na stole; po jego odejściu ten kamień zaginął. Przed Marchwickim byli tutaj inni introligatorzy, np. w oficynie nad jeziorem oprowiał Nawrot²⁶, ale ja ich nie znałem i nie pamiętam²⁷.

Na Prowencie pracowałem dwa lata. W roku 1899 we wrześniu poszedłem do Poznania, do pałacu Działyńskich. Pałacem zarządzał wtedy pan Szymański²⁸. Miał on pomocnika, który poszedł do wojska, więc musiałem go zastąpić. W pałacu mieściła się wtedy na parterze księgarnia Żupańskiego²⁹ i jego nakłady, nasze nakłady i dublety oraz dublety

²⁶ Jan Nawrot, „służący biblioteczny”, „wyuczył się” introligatorstwa od introligatora z Sieniawy, Łacikowskiego, który przebywał w Kórniku „od grudnia 1873 do lipca 1874 i pracował głównie dla biblioteki ks. Wł. Czartoryskiego”. Nawrot oprowiał po wyjeździe Łacikowskiego w r. 1874 (A.B. 216).

²⁷ Celichowski notował prace introligatorskie w specjalnych księgach zatytł. *Oprawa książek*. Według nich w Kórniku pracowali: od lipca 1879 r. Wróblewski, od czerwca 1880 Pankowski, w r. 1891 W. Szatkowski, w r. 1892 J. Wawrzynkiewicz, od r. 1895 Marchwicki, w r. 1913 Januszyński, od 1914—1916 r. S. Małecki. Nadto bardzo duże ilości książek oprowiali introligatorzy poznańscy: Marchwicki: 1870—1872, Stanisław Kitka: 1871—1879, 1881—1889. W tym czasie firma tego ostatniego przenosi się z ul. Szerokiej na Wrocławską, następnie na ul. Św. Marcina; w l. 1889—1892 oprowia także Władysław Kitka. Od r. 1901 spotykamy jako właściciela firmy L. Grunowskiego; od r. 1906 do r. 1916 prowadzi firmę M. Mendelewski. W. Juszyński z ul. Wilhelmowskiej oprowia w r. 1880. W. Szatkowski w r. 1881 i później w r. 1890; firma mieści się wtedy na Starym Rynku nr 77. W następnym roku Szatkowski przeniósł się do Kórnika. K. Czajkowski oprowia w r. 1883. K. Kmiecikowski z ul. Teatralnej w l. 1904—1905 i 1912—1914. „Bibliotekę Warszawską”, „Rozprawy” i inne wydawnictwa Akademii Umiejętności wysyła Celichowski do Krotoszyńska, gdzie oprowia je szczególnie starannie i tanio A. Masłowski w l. 1889 i 1905 (A.B. 215; A.B. 217; A.B. 218; A.B. 219).

²⁸ Antoni Szymański zm. w 1929 r., syn Mateusza ogrodnika i Zofii z d. Stanisławskiej.

²⁹ Jan Konstanty Żupański (1806—1884), Grek z pochodzenia, wybitny księgarz i wydawca poznański. Księgarnię w Poznaniu otworzył w r. 1833. Celichowski nabył ją w r. 1894 i umieścił w pałacu Działyńskich, a częściowo przeniósł się do Kór-

księcia Stefana Lubomirskiego z Warszawy. Księgarnię prowadził sam pan Szymański. Ja utrzymywałem porządek w całym pałacu i w księgarni, nosiłem korespondencję na pocztę, roznosiłem do domów, do prenumeratorów, czasopisma, które całymi pakami przychodziły na adres księgarni, polskie i zagraniczne. Wykupywałem te paki na cle. Panie domów prenumerowały „Dobrą Gospodynię” i inne pisma z ilustracjami i modami damskimi. Nasze nakłady i Żupańskiego, które były już wtedy własnością dra Celichowskiego, wysyłaliśmy skrzyniami nawet do Ameryki. Najgorzej było z Warszawą: czasem paczki zaszły, czasem wracały z powrotem. Z Krakowem szło łatwiej, tak samo ze Lwowem. Do Lwowa wysyłaliśmy też raz eksponaty na wystawę; widziałem skrzynie z tej wystawy i pamiętam, że berło Leszczyńskiego było na jednej z nich określone jako „berło z kości nosorożca”³⁰.

Brał też od nas sporo książek Żyd Jolowicz³¹, który miał antykwariat obok Odwachu. Dr Celichowski kupował od niego dużo za gotówkę i na wymianę. Jolowicz był małego wzrostu i niepozorny, ale dobrze się znał na książkach i władał kilkoma językami.

Napatrzyłem się w pałacu różnych rzeczy. W czasie procesji na Boże Ciało urządzano tam zawsze ołtarz. Brano do tego zabytkowy ołtarz srebrny. Zwykle był on ukrywany w magazynach księgarni i tylko ten raz do roku go wydobywaliśmy. Z Kórnika przywożono wtedy cały wóz girland, kwiaty, lichtarze i srebrne amfory jako wazon. Było tych amfor wtedy siedem, używaliśmy sześciu. Były to bardzo piękne amfory po marszałku Gurowskim, z jego herbem. Jedną ofiarował później hrabia Zamoyski Muzeum Narodowemu w Poznaniu, reszta poszła do Związku Zamoyskich³². Po marszałku Gurowskim była także wspaniała srebrna zastawa na 60 osób, tę hrabia sprzedał³³; wazy do boli i sztucce połączone z porcelanowymi oprawkami wziął Związek Zamoyskich.

nika. O zasobie księgarni informują jej liczne katalogi nakładowe i komisowe. Przy jego księgarni mieściła się także Czytelnia Polska.

³⁰ Sygn. M. K. 4106. Właściwie berło to wykonane jest z zęba narwala.

³¹ Józef Jolowicz, księgarz i antykwariusz poznański; specjalnością jego m. in. były druki polskie i słowiańskie. Był autorem prac z dziedziny księgoznawstwa, ogłaszanych w „Zeitschrift d. Historischen Gesellschaft f. die Provinz Posen”. Biblioteka Kórnicka posiada jego katalogi z l. 1870—1913. W niektórych podaje informacje o poznańskich i innych bibliotekach prywatnych, zakupionych po śmierci właścicieli.

³² Związek Zamoyskich, stowarzyszenie rodzinne, założone przez Władysława Zamoyskiego w r. 1910, którego członkami mogli być potomkowie Andrzeja Zamoyskiego, kanclerza w. k. Celem, określonym przez statut, było utrwalanie łączności pokoleń, opartej na poczuciu obowiązku służenia Bogu i Ojczyźnie, utrwalanie potrzeby nauki i pracy, zbieranie materiałów historycznych, czuwanie nad fundacjami, popieranie prac społecznych podejmowanych przez członków Związku.

³³ Władysław Zamoyski sprzedał zastawę po Gurowskim, aby uzyskaną sumę ofiarować na lotnictwo polskie; część jej przeznaczył dla harcerstwa.

Wspaniałe były procesje na Boże Ciało: piękne stroje ludowe, sokoli. Przy naszym ołtarzu asystowała zawsze z bronią w ręku pruska policja, dlatego że ten ołtarz należał do króla Jana Sobieskiego i był z nim pod Wiedniem.

Oglądałem też z pałacu Działyńskich inny wspaniały pochód, pogrzebowy. Zmarła wtedy w Poznaniu w domu na ulicy Rycerskiej ostatnia z rodu po kądzieli, Cecylia Działyńska³⁴, właścicielka Granowa. I majątek, i dom odziedziczył po niej książę Olgierd Czartoryski. Dom był w podwórzu naprzeciw ulicy Skarbowej, miał przybudowaną wieżę, z której można było widzieć Wartę. Na tę wieżę wprowadzano Cecylię Działyńską, aby mogła popatrzeć na miasto i dalszą okolicę, bo była kaleką wskutek wypadku. Pogrzeb szedł ulicą Św. Marcina, Alejami Marcinkowskiego, ulicą Nową, Starym Rynkiem, przez bramę Kaliską za Chwaliszewem, ulicą Tama, która szła przy odnodze Warty, ku kościołowi Św. Rocha. Wieźli ją w białej trumnie na karawanie. Był to wspaniały pochód. Po jednej tylko stronie naliczyłem 30 księży. Pogrzeb był w Kórniku. Było tam po pogrzebie przyjęcie na 90 osób. Pan Szymański pojechał do Kórnika, aby pomóc przy urządzaniu wszystkiego. Na przyjęciu była wtedy zupa rakowa. Kiedy w r. 1904 wróciłem znowu do Kórnika do zamku, znalazłem w piwnicy przy kuchni olbrzymiego raka w skorupie wielkości męskiej dłoni, zzieleniałej ze starości. Stary Frąckowiak twierdził, że tylko z tego pogrzebu mógł się ten rak tam dostać.

W nocy przed dniem pogrzebu, kiedy już pana Szymańskiego nie było i ja sam zostałem w pałacu, zjawił się hrabia Władysław Zamoyski³⁵ z inż. Boguckim³⁶. Hrabia miał wtedy wstęp w granice Prus wzbroniony, więc obawiał się przyjechać, ale go inżynier namówił, aby zaryzykował, a na pewno przez 3 dni z powodu pogrzebu pozwolą mu władze pozostać. Trzeciego dnia pojechali obaj z dr Celichowskim do prezydenta miasta, przedstawili sprawę i pozwolono hrabiemu zostać jeszcze przez 14 dni.

Tymczasem jednak wiedziałem od pana Szymańskiego, że hrabia Zamoyski nie przyjedzie. Miał on swój pokój na piętrze, na prawo od Czerwonej Sali, aleśmy go nie naszykowali. Kiedy więc zobaczyłem

³⁴ Cecylia Działyńska (1837—1899), córka Tytusa i Celestyny z Zamoyskich.

³⁵ Władysław Zamoyski (1853—1924), syn gen. Władysława i Jadwigi z Działyńskich, córki Tytusa. Został właścicielem Kórnika w r. 1880 na mocy testamentu wuja swego, Jana Działyńskiego. W r. 1889 wykupił z rąk obcych dobra Zakopane.

³⁶ Inż. Baltazar Bogucki, przemysłowiec galicyjski, zaprzyjaźniony z Władysławem Zamoyskim od 1899 r., dyrektor wapiennika w Płazie pod Chrzanowem, który był własnością F. Bourdila i W. Zamoyskiego, współakcjonariusz Przedsiębiorstwa Budowy Kolei Chabówka—Zakopane, Piła—Jaworzno i in., właściciel fabryki szczotek w Zwierzyńcu pod Krakowem i fabryki sukna w Żywcu.

w bramie wielkiego brodacza, bo hrabia był wysoki blisko na 2 m, a przy nim drugiego pana, małego i szczupłego (bardzo pocieszenie razem wyglądali), i kiedy kazali się wpuścić, bo chcą przenocować, odpowiedziałem: „Może pan i jest panem hrabią Zamoyskim, ale ja pana nie znam i wpuścić pana nie mogę”. Poszli jak niepyszni do żydowskiej restauracji na Starym Rynku, jedynej otwartej, i wypili herbatę. Najęli potem dorożkę i tak dostali się o godz. 5 rano do Kórniku. Zamek był zamknięty, bo Frąckowiak i Szymański robili przygotowania w stołowym pokoju i nie słyszeli dzwonienia, więc im nie otworzyli. Zostawili wtedy walizki na moście, a sami poszli na Prowent do dra Celichowskiego. Tam stara Kąmierzczakowa znowu ich nie wpuściła, ale poszła do Celichowskiego, że jakiś drab z siwą brodą przyjechał. Doktor zaraz się domyślił, kto to, zerwał się z łóżka i przyjął ich. Najpierw dali im jeść, bo byli głodni.

Inżynier bardzo się interesował budowlą zamku. Słyszałem raz jego rozmowę z p. hrabią: namawiał, żeby mu hrabia pozwolił, a on przeniesie cały zamek na inne fundamenta, na suchy grunt w parku, gdzie dziś klomby przy wielkim buku. Ale hrabia się nie zgodził.

Kiedy przyszedłem do dra Celichowskiego do pracy przy bibliotece, dostała mi się w ręce książka wydana w Kórniku *O pracy*³⁷. W niej na jednym miejscu przeczytałem, że człowiek jest dopiero wtedy doskonały, o ile wypełni te trzy warunki: pracy fizycznej, pracy umysłowej i pracy duchowej. Ja się nad tym zastanawiałem i mówiłem sobie, że żeby wypełniać te warunki, to trzeba mieć czyste sumienie, prawy charakter i szlachetne serce. Inaczej się tego nie wykona. Od tego czasu postanowiłem, że ja w swoich obowiązkach będę dążyć do tego. Jeszcze więcej utwierdziła mnie w tym rozmowa, jaką miałem z Władysławem Zamoyskim. Kiedy wrócił znowu do Poznania z pogrzebu swej ciotki, pochwalił mnie za to, że go nie chciałem wpuścić do pałacu, i powiedział do mnie: „To wszystko nie jest moje; jak przyjdzie chwila, wszystko to przekażę narodowi, a rzecz narodową trzeba więcej cenić i ochraniać niż swoją własność”.

Mówił mi te słowa w swoim jadalnym pokoju na pierwszym piętrze. Obok był salon, w którym wisiał portret marszałka Gurowskiego. Tycjan wisiał wtedy nad kominkiem w Czerwonej Sali, a na kominku stało sześć szkiców Bacciarellego; teraz są tylko cztery w Kórniku. W pokojach hrabiego nocowali też różni goście z rodziny, którzy dosyć często przyjeżdżali. Pamiętam Czartoryskich, Radziwiłłów, Lubomirskich, Potockich. Pani Szymańska prowadziła wtedy kuchnię dla tych gości.

W Czerwonej Sali, gdzie wisiał Tycjan, odbywały się kilka razy do roku tajne zebrania wieczorami, bez światła, aby nie było widać naprze-

³⁷ Zamoyska Jadwiga, *O pracy*, wyd. 1.: Poznań 1900, wyd. 2.: Poznań 1902.

ciw z Odwachu. Schodziło się na nie dużo poważnych osób; Salę zamykano. Były i posiedzenia jawne, koncerty na cele dobroczynne, wykłady oświatowe, ilustrowane na tablicach rysunkami. Niektóre wykłady miewał lekarz dr Świącicki³⁸, który też mieszkał w pałacu na drugim piętrze. Miał tam też pokój operacyjny, dlatego na tym piętrze zlikwidowano pokoje gościnne. Był on żonaty z hrabiną Domską, wdową. Była ona bardzo piękna, miała twarz jak Madonna. Pani Świącicka ogromnie mnie lubiła, miałem się dobrze przy niej. Zmarła, kiedy mnie już nie było w Poznaniu. Kiedy w jakiś czas przyjechałem znowu do pałacu i przypadkiem spotkałem dra Świącickiego, zatrzymał mnie i zapłakał: „Widzisz, utraciłem moją najukochańszą żonę”.

Pan Szymański był również żonaty z panną Kopankiewiczówną z Kórniką. Kopankiewiczowie mieli tutaj stary domek³⁹, bardzo ładny, z wysokim, spadzistym dachem. Pan Szymański go przebudował. Zmarła w nim później pani Szymańska. W pałacu mieszkali państwo Szymańscy na parterze od strony ul. Franciszkańskiej. Obok ich mieszkania, zaraz za drugą bramą, był zakład krawiecki, później szewski, za nim księgarnia w dwóch pokojach; w tyle był główny magazyn, trzecia część magazynu była na strychu. Ja mieszkiałem też na parterze, między dwiema bramami. Pobory moje wynosiły wtedy 22 mk miesięcznie oraz utrzymanie. Pensja wystarczała na ubranie się; buty np. dostawało się wtedy za 3—4 mk.

Pierwsze piętro, jak wspomniałem, było do użytku Zamoyskich. Tam też mieszkał najstarszy syn dra Celichowskiego, mecenas⁴⁰. Brał on także udział w tajnych zebraniach w Czerwonej Sali. Mieszkał on w tak zwanej Białej Sali, od strony ogrodu, która wtedy była już przerobiona na 4 pokoje. Dwa z nich od strony ulicy Franciszkańskiej zajmowała dawniej Cecylia Działyńska; w jednym była jej domowa kaplica. W Białej Sali na suficie były piękne białe nimfy gipsowe. Oba pokoje po Cecylii Działyńskiej miały ściany wykładane boazerią z pięknymi, figuralnymi rzeźbami. Urządzenie Sali Czerwonej było dostosowane do jej przeznaczenia: wielkich zebrań i koncertów. Stał tam fortepian i 120 krzesel empirowych i wiedeńskich.

W Poznaniu pozostawałem przez 2 lata. Stamtąd powołano mnie do wojska jako rekruta. Uwzięli się wtenczas Niemcy na Poznańskie i aby germanizować młodzież, wywozili ją w głąb Niemiec. Ja się dostałem

³⁸ Heliodor Świącicki (1854—1923), lekarz, późniejszy profesor i pierwszy rektor Uniwersytetu Poznańskiego, prezes Pozn. Tow. Przyj. Nauk, autor prac naukowych z zakresu ginekologii.

³⁹ Ul. Poznańska nr 108 [L.M.]. Zona Antoniego Szymańskiego, Stanisława, nazywała się właściwie z domu Kolasińska; Kopankiewicz był jej ojczymem.

⁴⁰ Witold Celichowski, ur. 9 V 1874, syn Zygmunta i Zofii z Ziemnych, prawnik, wojewoda poznański w l. 1919—1923. Zm. we wrześniu 1944.

do miasta Staade w Hanowerze. Było nas tam 30 Polaków. Obchodzono się z nami źle. Niewiele więcej słyszeliśmy, jak ustawicznie „*Polnische Schweine*” i „*Polnische Knopfgabe*”. Knopfgabe to był taki przyrząd do czyszczenia guzików na rękawach, a guziki były wprowadzone po to, żeby żołnierz nie mógł nosa rękawem wycierać. Dziś to już nie jest potrzebne, bo wszędzie weszły w użycie chusteczki do nosa, nawet u najprostszych ludzi.

Słyszając te wyzwiska postanowiłem sobie tak się zachowywać, żeby Niemcom pokazać, że to wszystko w stosunku do nas Polaków jest nieprawdą. Kiedy nas zwolniono z wojska, dostałem też poświadczenie, w którym było napisane, że dobrze, zgodnie z prawem się prowadziłem (*Rechtgutgeführt*). Ten papier sobie zachowałem, a kiedy nas w czasie ostatniej wojny aresztowano, zdążyłem go sobie wsunąć do kieszeni. W Domu Żołnierza zabrano mi go; nie wiem, czy mi to co pomogło. W Hanowerze my Polacy byliśmy wszyscy zorganizowani, trzymaliśmy się razem. Nawoływano tam wtedy bardzo do kolonizowania Polski; była to wielka agitacja w gazetach. Wykupywaliśmy te gazety i przesyłaliśmy do Poznania, do „*Wielkopolanina*”, żeby się nasze społeczeństwo w tych sprawach dobrze orientowało. Prowadzono też w Poznańskim wielką walkę z tą kolonizacją o ziemię polską. Niemcy na Krzesinach np. pobudowali budynki, urządzili całkowicie gospodarstwa z inwentarzem żywym i martwym i skolonizowali je. Dr Celichowski z polecenia Zamoyskich chciał wtedy wykupić Krzesiny, ale brakło mu 10 tys. marek, więc właściciel Krzesin, Czarnecki, sprzedał je Niemcom na kolonizację — był on za to bojkotowany przez wszystkich Polaków i powszechnie za sprzedawczyka okrzyczany. Podobna historia była i z Wielkimi Jeziorami — wykupili je hakatyści.

W wojsku był razem ze mną niejaki Michalak, mularz z zawodu, z Jezyc w Poznaniu. Miał on bardzo ciężką wadę wymowy — nim słowo powiedział, że trzy razy zaczynał. Pewnego razu na godzinę przed ćwiczeniami, podczas wykładu, sierżant, który był wykładowcą, wdał się w politykę i żeby nam dokuczyć, odzywa się do nas, że za pięćdziesiąt lat w Poznańskim ani jednego Polaka nie będzie. Wtedy ten Michalak, który tak się jękał, bez namysłu mu odpowiedział: „*Die Polen sind nicht verloren!*” I powiedział to gładko, bez najmniejszego zająknięcia. Myśleliśmy, że sierżant awanturę urządzi, ale on się uśmieł, że mu to tak sprawnie poszło. Musiał Michalak te słowa jeszcze kilka razy przed oficerami powtarzać i za każdym razem udało mu się bez jękania. Oficerowie śmiali się z tego.

Z Kórnika był ze mną stolarz Michałowski⁴¹; był też z nami biegły

⁴¹ Andrzej Michałowski, syn Józefa i Katarzyny z Małeckich, ur. 14 XI 1879, z zawodu stolarz. Poległ we Francji 3 V 1917 r.

polityk i dobry patriota rzeźnik Jurkiewicz z Poznania. Trzymali się mnie, bo w drugim roku służby wojskowej dostałem się za ordynansa do kapitana, miałem więc więcej pieniędzy niż oni, brałem ich do restauracji i tam mogliśmy sobie zawsze pogadać. Dostawałem nieraz burę, że nie umiem dobrze po niemiecku i ciągle gadam po polsku.

Praca u kapitana była ciężka, bo i w domu, i przy koniu. Z koniem pod wierzch nigdy właściwie nie miałem do czynienia, ale jak go czyściłem na próbę, kapitan od razu uznał, że się do tego nadaję. Utrzymywanie dostawałem, a oprócz tego miałem pensję. Ale kapitan nie wypłacał mi od razu wszystkiego i w ten sposób robiłem sobie oszczędności. Tych oszczędności nie dał mi też, gdy odjeżdżałem, żeby mi ich kto w drodze nie skradł, ale mi je przysłał do domu pocztą. Była to duża suma, ubrałem się całkowicie i matce też mogłem dać na dom. Matce przysyłałem i w ciągu służby od czasu do czasu mniejsze lub większe kwoty. Raz zebrałem sobie same złote dziesięcio- i dwudziestomarkówki i posłałem matce, ale żeby ich na pocztę nie zmienili na papierowe, wyciąłem w komysniaku szparę, tam je powsuwałem, a matce napisałem, że ma rozwijać ostrożnie. Bardzo była ciekawa tej paczki, a kiedy przyszła, poczuła się zawiedziona, zobaczywszy, że to tylko chleb. Ale po chwili zauważyła szparę, chleb ostrożnie rozkroiła i dopiero mnie zrozumiała.

Kapitan, u którego służyłem za ordynansa, był żonaty. Żona jego nazywała się z domu Skala, pochodziła spod Szczecina, gdzie jej rodzice mieli majątek. Jej matka, która do niej przyjeżdżała, bardzo mnie lubiła. Była to przyjemna osoba, typ zupełnie słowiański. Kapitanowa tak samo była bardzo miła. Za to kapitan to był czysty typ germański. Nazywał się Scholmeier. Była w tym czasie u nich służąca, nazywała się Dora von Aspern, pochodziła ze szczepu Franków, których Niemcy podbili i majątki im skonfiskowali, dlatego musieli oni pracować fizycznie. Oboje rozumieliśmy się, bo ona mi opowiadała historię swojej ojczyzny, ja jej o swojej ojczyźnie.

Kiedy jeszcze chodziłem przez dwa miesiące na próbę do kapitana, zanim zostałem na dobre ordynansem, już zauważyłem, że Fräulein Dora z poprzednim ordynansem są po same uszy zakochani w sobie, o czym kapitan wcale nie wiedział. Tak trwało aż do odejścia tego ordynansa. Przez tydzień nie miała od niego żadnej wiadomości, zaczęła desperować i powiedziała do mnie, że jak nie będzie od niego wiadomości, to pójdzie się utopić. Czekala w tej desperacji trzy tygodnie i chodziła jak obłąkana. Na końcu trzeciego tygodnia dostała wreszcie od niego list, ale z odmową, że żenić mu się z nią rodzice nie pozwalają, bo on będzie musiał objąć gospodarstwo, a ona jest biedna. Wtenczas biedna Fräulein Dora wpadła w wielką rozpacz. Na drugi dzień, gdy szedłem do kuchni po odpasieniu konia, spotkałem ją przed domem, szła przez ogród w kie-

runku kanału. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, ale uczułem jakiś niepokój, sumienie mi mówiło, żeby iść za nią. Fatalna sprawa, pomyślałem, dogoniłem ją już blisko kanału, uchwyciłem za rękę, ona się opierała i nie chciała się cofnąć. Zacząłem jej tłumaczyć, że z drugich kamienic patrzą na nas, i wreszcie przyprowadziłem ją za rękę aż do kuchni. Zaraz poszedłem zameldować o tym kapitanowi. Kapitan z furią wpadł na mnie, że to ja pewnie jestem winien, ale kiedy mu powiedziałem, że dostała list od swego Friedricha, zrozumiał, o co chodzi. Przywołali ją w tej chwili, porządnie jej nagadali, a kapitan wysłał ekspres po Friedricha. Przyjechał zaraz, pogodzili się ze sobą, a nawet, żeby nie było trudności, on zrzekł się gospodarstwa, wstąpił do wojska i tak znów byli razem, bo mógł ją odwiedzać. Po jakimś czasie, kiedy byłem już zwolniony z wojska, dostałem od nich pocztówkę: dziękowali mi za opiekę nad Fräulein Dorą i donosili, że się pobrali i że są szczęśliwi.

Kapitanostwo bardzo cenili pannę Dorę, bo była z dobrego domu i można jej było we wszystkim zaufać. Była inteligentna, kulturalna i ładna. Ja też miałem u nich dobrze. Chcieli, żebym został dłużej, bo można było służbę przedłużyć na 2—3 lata, ale się nie zgodziłem, tym bardziej że dr Celichowski zapewnił mnie, że będę mógł wrócić do dawnej pracy. Wyszedłem z wojska jako starszy żołnierz.

Do Kórniku wróciłem we wrześniu 1903 r.: zaraz się zameldowałem na Prowencie i od razu dostałem zajęcie — po dawnemu czyściłem, wietrzyłem, ogrzewałem bibliotekę batignolską, która najwięcej starań wymagała, bo pokoje nie były dostatecznie suche. W pierwszym pokoju, pamiętam, leżały atlasy holenderskie, każda karta kolorowa i złocona, wyglądały jak miniatury. Oprawy też miały piękne. W ogóle była to bardzo ciekawa biblioteka; znajdowało się w niej dużo książek Stronnictwa Demokratycznego, rękopisy, śliczna grafika, pamiątki po Tadeuszu Kościuszcze: jego tabakierka, fajka, włosy i drobiazgi na biurko. Przeprowadziłem generalne porządki, poczyściłem wszystko i ta praca trwała aż do stycznia. Pomagał mi Marcin Frąckowiak z zamku.

Od stycznia 1904 r. przeszedłem do zamku; głównym naszym zajęciem było utrzymanie porządku w zamku wraz z Frąckowiakiem i praca w bibliotekach. Mieściły się one nadal w czterech budynkach, oprócz zamku. W oranżerii, przy oficynie, znajdowały się nakłady kórnickie i Żupańskiego, stanowiące własność dra Celichowskiego; były wśród nich ładne i dobre książki. Dr Celichowski przywiózł je, niektóre w pełnym nakładzie, po zamknięciu księgarni w Poznaniu. Pamiętam, było wśród nich *Powstanie styczniowe*⁴² w 700 egzemplarzach nakładu; były

⁴² [W. Przyborski], *Ostatnie chwile powstania styczniowego*, Poznań 1887—1888, t. 1—4.

też *Wizerunki przyszłości socjalistycznej*⁴³. W pawilonie w parku mieściła się po staremu przyroda, wojskowość i medycyna, w oficynie nad jeziorem — historia obca, języki obce; geografia na piętrze, a na dole nakłady, na Prowencie — jak już wspomniałem — biblioteka batignolska, a w zamku na drugim piętrze rękopisy i stare druki. Byłem jedynym magazynierem całej tej biblioteki i jak dawniej — wybierałem książki dla dra Celichowskiego albo na wysyłkę, lub wkładałem je z powrotem na półki.

Frąckowiak zasadniczo opiekował się zamkiem, ale nieraz też mi pomagał, bo najwięcej pracy było właśnie po bibliotekach. Co dzień rano otwieraliśmy okna, pod wieczór zamykali. Dwa razy do roku książki były czyszczone. Na Prowencie i w oficynie nad jeziorem było trochę wilgoci, więc tam stale nie tylko wietrzyliśmy, ale i przesuwali książki, a półki odsuwaliśmy od ścian. W ogóle staraliśmy się, aby półki zawsze były od ścian cokolwiek odsunięte. Ze szkodników na Prowencie głównie pojawiały się robaki; niszczyliśmy je naftaliną i jeszcze jakimś proszkiem, który dr Celichowski sprowadzał z Lipska. Na robaki w drzewie używaliśmy terpentyny, naftaliny, sublimatu rozpuszczonego w spirytusie, który zastrzykiwaliśmy w otworki.

Poza biblioteką pracowałem też w muzeum. Zastałem tam 16 koleczugi wyjętych z grobów i bardzo zardzewiałych, złożonych na stos. Kiedy hrabia Zamoyski przebywał raz w Kórniku między 1912 a 1916 r., doradził mu jego znajomy, dyrektor kolejowy z Poznania, wielki miłośnik starych, zabytkowych rzeczy, żeby tę rdzę z koleczugi usuwać kwasem solnym z wodą i wapnem lasowanym. Tak je też razem we trzech oczyściliśmy, a później je zabezpieczyłem lakierem saponowym.

Muzeum nie było wtedy tak zwiedzane jak teraz, ale niekiedy pozwalał dr Celichowski zwiedzić albo salę muzealną, albo pokoje na dole, albo całość. Dawał zawsze karteczkę, a ja oprowadzałem. Byli to przeważnie goście pojedynczy, czasem kilka osób, głównie naukowcy. Wycieczki masowe zaczęły się około r. 1910, chodziło bowiem o to, aby pokazując zabytki polskie, przeciwdziałać germanizacji. Pod naciskiem hakatystów, na przekór im, czytano gorliwie polskie książki i zainteresowano się historią Polski.

W r. 1910 mieliśmy w Kórniku wizytę Kronprinza. Poświęcano wtedy w Poznaniu nowo wybudowany zamek i na tę uroczystość przyjechał do Poznania cesarz Wilhelm II ze swoimi synami. Trzech z nich z Kronprinzem na czele przysłał cesarz do Kórnika, aby go sobie obejrzeni, bo miał go zamiar skonfiskować i obrócić na zamek myśliwski. Gdy przyjechali, przedstawili się jako „Fürsten von Posen”, aleśmy ich z Frącko-

⁴³ E. Richter, *Wizerunki przyszłości socjalistycznej (podług zasad Bebla)*, Poznań 1892.

wiakiem nie wpuścili, bo mogliśmy to robić tylko za pozwoleniem głównego plenipotentą, pana Celichowskiego. Pojechali więc na Prowent, ale Celichowskiego nie zastali, bo był gdzieś na folwarku. Więc pani Celichowska telefonowała do nas, żeby ich przyjąć, ale też nam nie powiedziała, co to są za książęta. Oprawdzał ich Frąckowiak razem ze mną. Kiedy doszliśmy do kręconych schodów na pierwszym piętrze, które wtedy były jeszcze bez poręczy, Kronprinz bardzo się dziwił, dlaczego to tak jest, że to przecież o wypadek nietrudno. A Frąckowiak mu na to: „Tu pijacy nie chodzą, to i poręcz nie potrzebna”. Ładnie to nie wypadło i było powiedziane jakby naumyślnie, bo Kronprinz nie stronił od kieliszka. Po czterech tygodniach Frąckowiak dostał od Kronprinza z Berlina małą paczuszkę z dwoma złotymi guzikami do mankietów z jego monogramem. Były to podwójne spinki jego pomysłu, który sobie kazał opatentować, i spinki takie rozdawał na pamiątkę. W paczce był bilecik, że Kronprinz dziękuje Frąckowiakowi za dowcip, który palnął, i przesyła mu pamiątkę. Wtedy się Frąckowiak dowiedział, że Kronprinz lubił dobrze pić i jak to wypadła jego odpowiedź.

Zanim książęta wyszli z zamku, zdążył wrócić dr Celichowski, którego żona zawiadomiła o ich przyjeździe. Zatrzymał ich przed zamkiem i przedstawił, jaką to ostrą politykę stosują władze pruskie wobec pana hrabiego. Odniosło to skutek, bo gdy się następnie zwracał o pozwolenie na przyjazd dla hrabiego, uzyskiwał je na dwa tygodnie. Od tego czasu bywał Władysław Zamoyski co roku w Kórniku z wyjątkiem roku 1912.

W tym czasie, kiedy wróciłem na dobre z wojska, wróciła też do Kórnika moja przyszła żona, Aniela z domu Konieczna. Chodziliśmy z nią razem jako dzieci do szkoły; pamiętam, wyśmiewała się ze mnie, bo miałem porteczki podarte. Była ona przez osiem lat w Zakopanem, w Zakładzie pani Jenerałowej. Ale jej tam pobyt nie służył, wpadła w anemię; lekarz kazał ją wywieźć niżej, do miejscowości suchej, piaszczystej. Odesłano ją wtedy do Antoninka koło Swarzędza, do państwa Stablewskich. W roku 1904 wróciła do rodziców. Żona była przystojna, ale ja nie szukałem ładnej panny, bo się już napatrzyłem, co te ładne potrafią, chodziło mi o co innego. Podobało mi się, że się na wszystkim zna, że ładnie mówi, widać było po niej, że przeszła szkołę pani Jenerałowej. Szkoła ta przygotowywała prawdziwie do życia w małżeństwie. Żona urodziła się w r. 1881; była chrześniaczką Marii i Władysława Zamoyskich — sami sobie tego życzyli, bo bardzo sobie cenili jej ojca, Walentego Koniecznego. Był on ogrodnikiem, specjalistą od hodowli ananasów, jeszcze za Jana Działyńskiego, z którym jeździł do Gołuchowa; sadzili tam obaj różne gatunki drzew, sprowadzane z zagranicy.

Ten człowiek, taki prosty, znał się znakomicie na ogrodnictwie. Rozmnażał rośliny przez szczepienie albo używając tzw. szczabrow, tj. od-

nózek ciętych z oczkami; hodował piękne kwiaty, doskonałe warzywa. Na zimę sadzono je z korzeniami w zamkowej piwnicy w piasku i zawsze były świeże. Drzewka cytrynowe w oranżerii owocowały przy nim co dwa lata; ananasów było tyle, że późną jesienią całe kosze wywożono do Poznania dwa razy na tydzień do składu delikatesów pana Sienkiewicza przy Al. Marcinkowskiego. Przy ananasach była ciężka praca. Gdy przyszła burza, musiał nieraz teść wstawać o północy i wietrzyć szklarnię. Piękne też były hodowane przez niego conifery; tuje, cisy i jałowce. Pani Jenerałowa i hr. Zamoyski cenili go bardzo. Miał lat 99, gdy zmarł, zdaje się, w r. 1923. Władysław Zamoyski był na jego pogrzebie. Przed pogrzebem jeszcze przyszedł odwiedzić go w trumnie, zdjął z rąk zmarłego różaniec i modlił się za niego. Za życia teścia też bywał często w ich domu.

W ogóle Władysław Zamoyski odwiedzał domy swoich pracowników, rozmawiał z nimi chętnie o wszystkim, jadał razem z urzędnikami. Gdy wracał późno z Poznania, nie kazał na siebie czekać; przygotowane jedzenie brał sobie sam, najczęściej wprost z garnków. W drogę lubił zabierać po góralsku pieczone kartofle, pieczony ryż i herbatę w butelce. Raz mnie częstował, podziękowałem, mówiąc, że muszę jeszcze żyć dla rodziny, nie mogę sobie żołądka rujnować. Ale jego nie można było przekonać pod tym względem. Dziwili się nieraz ludzie, że taki wielki pan, a tak ubogo żyje; nie rozumieli go. Najlepiej rozumiał go leśniczy Wojczyński⁴⁴, który tak wszystkiego pilnował, że nieraz jeszcze o północy ludzi załatwiał.

Matka żony, Zofia z Nowaków, pochodziła z gospodarstwa z Czapur nad Wartą. Umarła wcześniej od teścia.

Ślub wzięliśmy w r. 1905. Mieszkanie mieliśmy na Piaskach przy podwórzu, dwa pokoje z kuchnią na tzw. Szubertówce. Dawniej była to własność hr. Szołdrskiej, czyli Białej Damy, ale ona odprzedała ziemię i budynek Niemcowi Szubertowi. Od jego syna później wykupił znowu to gospodarstwo Władysław Zamoyski.

Najstarszym bratem żony był Franciszek Konieczny. Najstarsza z jej rodzeństwa, Marianna, późniejsza Słomowa, mieszkała w Poznaniu. Żona była trzecia z kolei, a najmłodsza Frania. Szwagier Franciszek był zdolny, ale uczyć się nie chciał, tylko mu konie były w głowie. Dano go do krawca, ale mu siedzenie przy krawieckiej robocie nie służyło, więc kiedy Jan Kozak, który tu był przy cugowych koniach, odszedł na borostrwo, zgłosił się na jego miejsce Konieczny i już do śmierci przy koniach został.

Konie cugowe były wtedy bardzo piękne, araby wspaniałe; pamiętam

⁴⁴ Nadleśniczy Wojczyński po wyjściu z Kórniku był profesorem Szkoły Leśnej w Margoninie.

jeszcze dwa z nich. Kiedy słyszały dzwonek alarmowy i wiozły sikawkę do pożaru, wyprzedzały wszystkie inne straże i zawsze pierwsze były przy ogniu. Był też piękny siwy ogier, który później zdechł tutaj ze starości, ale go nie chciano zabić ani się pozbyć. Zaprzęgał go Kozak do małego, plecionego z trzciny dokartu na dwóch kołach. Ogier był niebezpieczny; kiedy zobaczył inne konie na rynku, stawał na dwóch nogach i rżał przeraźliwie głośno; bali się go wszyscy i uciekali. Paru ludzi tu poślukł, ale Kozaka słuchał. Raz Kozaka zastępował Maćkowiak, to go wepchnął pod żłób i żebra mu połamał. Wzięto potem Maćkowiaka za stróża, bo do innej pracy nie był już zdolny. Po Kozaku wszędzie jeździł z hrabią Konieczny. Tym samymi arabami jeździł jeszcze jego ojciec z Janem Działyńskich do Gołuchowa. Wyjeżdżali powozem, który tu w zamku stoi. Do uprzęży używali wtedy tzw. komentek; były posrebrzane i bardzo ładnie wyglądały.

Najmłodsza siostra żony, Frania, przychodziła przez jakiś czas do pomocy w zamku, później pracowała u doktora Wilczyńskiego w Żrenicy i Warszawie. Ciężko wtedy zachorowała, więc ją wzięto z powrotem do zamku i jest tutaj do tego czasu. Przez jakiś czas, podczas okupacji, gdy mnie aresztowano, pozostała sama i wszystkim się opiekowała.

Kiedy w r. 1911 hrabia Zamoyski, mając pozwolenie na przyjazd na 14 dni, przybył do Kórnik, pośliznął się na korytarzu, pękła mu żyłka, nastąpił wylew krwi, okulał, nie mógł chodzić i musiał się położyć. Leczył go dr Tłok⁴⁵; przedłużał mu pobyt u władz pruskich, a hrabia wykorzystywał ten czas na porządkowanie papierów po szafach; były to przeważnie listy. Znajdowały się one w wielkim nieporządku, który się zakradł jeszcze w czasie sekwestrów. Schodziło się wtedy do hrabiego dużo ludzi, obywateli kórnickich, i naradzali się nad różnymi projektami. Np. kupiec Szulc⁴⁶ chciał tu założyć fabrykę zapalek. Nie doszło do tego, bo wybuchła wojna. Był to znany kupiec i działacz, wielki patriota. Na Szubertówce chciał hrabia założyć mączkarnię; chciał też budować i inne fabryki, żeby miasteczko uprzemysłowić i dać ludziom pracę.

Pan hrabia dbał i o inne interesy miasteczka. Nie chciał np. nigdy, żeby odebrać mieszkańcom brzeg jeziora, wylaniający się spod wody, na którym teraz proponuje się urządzenie promenady. Uważał, że byłoby to z krzywdą tej ludności, która mieszka nad jeziorem. Miał chyba słuszość, bo dostęp do jeziora dla reszty mieszkańców można uzyskać, przedłużając cokolwiek betonowymi występami te uliczki, które do jeziora prowadzą. Na takich występach mogłyby być słupki z kółkami

⁴⁵ Andrzej Tłok (1872—1937), syn Walentego i Antoniny z domu Mieloch, jeden z najwybitniejszych lekarzy kórnickich, niezwykle ofiarny i oddany swej pracy.

⁴⁶ Tadeusz Szulc, kupiec, ur. 10 III 1877 r.; do Kórnik przybył ze Śremu w 1901 r., wyprowadził się w r. 1907 [L.M.].



Marcin Frąckowiak



Władysław Zamoyski w Zakopanem

do przytwierdzania łodzi dla tych, co mieszkają po drugiej stronie rynku, a nawet budka wypożyczająca miejskie łodzie obcym gościom. Kosztowałyby to taniej od promenady, a resztę tych pieniędzy, które by się w nią wpakowało, można by zużyć na rozszerzenie miasta, np. na zabudowywanie ulicy Stodolnej. Panu hrabiemu przeszkadzały ciągle władze pruskie, które go wydalili z kraju i tylko na krótko pozwalały tutaj zaglądać, jak o tym już wspomniałem.

Zjeżdżali też wtedy do Władysława Zamoyskiego krewni na naradę: ordynat Maurycy Zamoyski, Jan Zamoyski i brat jego Władysław, ks. Witold Czartoryski, młodzi Grocholscy i inni. Odbywało się wtenczas zebranie rodziny w Zakopanem, więc po drodze wstępowali tutaj. Chodziło pewnie o utworzenie Związku Zamoyskich i określenie, w jaki sposób Fundacja ma być ze Związkiem połączona.

Goście p. hrabiego, znajomi czy krewni, zawsze przy nas mówili językiem obcym, żebyśmy nie rozumieli. Pan hrabia władał ośmioma językami i z każdym cudzoziemcem swobodnie się jego językiem rozmówił. Ale jak Polak zaczął do niego mówić po francusku czy angielsku, nigdy mu inaczej nie odpowiedział, tylko po polsku.

W czasie tej choroby pana hrabiego odbywały się w okolicy manewry wojskowe; oficerowie pruscy stacjonowali w oficynie, a jadalni w kawalerskiej kuchni urzędniczej. Hrabiemu też się z tej kuchni nosiło jedzenie w menażkach. Oficerowie podejrzewali, że dla niego jest osobna kuchnia w zamku i oburzali się, że muszą jadać tam, gdzie obok mieści się masztalernia. Dr Celichowski musiał sprowadzić specjalną komisję, aby orzekła, czy kuchnia zamkowa jest używana, czy też nie. Kuchnie były rozwalone, nie do użycia; komisja sprawdziła, jaki jest stan, i oficerowie się uspokoiili. Miał dr Celichowski i dawniej kłopoty z manewrami. Zanim jeszcze przyszedłem na Prowent, też w czasie manewrów, tutejsi Niemcy namówili, żeby major wziął sobie kwaterę w zamku. Dr Celichowski sprzeciwił się temu, wreszcie zapytał, czy major chce gwałtem wejść do zamku. Major odpowiedział, że tak robi. Wtedy Celichowski zatelefonował do Komendy Głównej w Poznaniu tłumacząc, że zamek jest budynkiem muzealnym i za kwaterę nie może służyć. Major dostał telegram, że ma zająć kwaterę wyznaczoną w oficynie, zresztą bardzo porządną, i na tym się skończyło.

W r. 1912 nie było hrabiego w Kórniku, przyjechał dopiero w r. 1913, był także w r. 1914. Gdy odjeżdżał po tym ostatnim pobycie, kazał mi przyjechać za sobą do Krakowa, do pałacu Czartoryskich na ul. Floriańskiej. Trzymał mnie tam przez 3 dni i osobiście oprowadzał po Krakowie, przeważnie pieszo. Jadaliśmy zwykle w jarskiej restauracji; była to wspaniała i tania kuchnia. Po trzech dniach zabrał mnie i pojechaliśmy razem do Zakopanego; miałem się tam uczyć introligatorstwa.

Pracowałem w introligatorni od godz. 8 do 12, potem szedłem na narty, następnie od godz. 3 do 6 po południu znowu do pracy. Po dwóch tygodniach pojechałem już na nartach na Giewont z introligatorem Więckowskim⁴⁷ i drukarzem Hubertem⁴⁸. Było to w Przewodnią Niedzielę, opalaliśmy się; 150 metrów poniżej szczytu zrobiliśmy sobie herbatę ze śniegu i dalej szliśmy już bez nart. Wracaliśmy przez Kalatówki, jadąc zakosami. Ja jeszcze nie bardzo umiałem sobie radzić na zakrętach. W jednym miejscu jadący przodem kazali mi dać susa, skoczyłem i przechoziółkowałem przez płotek ledwie zasypyany śniegiem. Bolała mnie potem noga dosyć długo.

Widzieliśmy tam ślad niedźwiedzia, szedł w stronę Zakopanego. Już wiedziałem wtedy, jakie niedźwiedzie potrafią być niebezpieczne, kiedy są rozdrażnione. W 1908 r. chodzili po Kórniku Cyganie-niedźwiedznicy i mieli dwa niedźwiedzie, które tańczyły przed zamkiem. Podrażniłem je, a one mnie zaczęły gonić. Uciekałem do zamku, zamknąłem pierwsze drzwi, schowałem się w hallu i patrzyłem, co zrobią. A one sobie łapą otworzyły drzwi na babińcu⁴⁹, podeszły do okna i zaczęły łapami naciskać szybę, chciały się do mnie dostać. Schowałem się do pokoju służbowego i dopiero wtedy, jak mnie straciły z oczu, odeszły. Ale na Kalatówkach widzieliśmy tylko ślady.

Byłem też jeszcze w dolinie Za Bramką, w Kościeliskiej i innych; zwiedziłem grotę Młyną. Za tą grotą jest polanka, a za nią druga duża grotą, ale chłopcy bali się iść, bo tam się ukrywał niedźwiedź. W stronę Jaworzynki też jest grotą, tylko bardzo zasypiana, bo osuwają się tam skały; w tej grocie są rysunki na ścianach, które zostały po zbójnikach. Były tam też kości, aleśmy nie sprawdzili, czy ludzkie, czy zwierzęce. Na Hali Gąsienicowej nie byłem. Raz Hubert sam pojechał przez Czerwone Wierchy, a wrócił Doliną Kościeliską; opalił się tak, że mu skóra płatami schodziła. To był wytrawny narciarz. Ale i ja pod koniec dobrze jeździłem, a uczyłem się na Kalatówkach.

⁴⁷ Władysław Więckowski, wychowanek jen. Zamoyskiej, przez nią wysłany na naukę do prof. Jahody, legionista, właściciel otrzymanej od Zamoyskich parcelki z budką przy Rondzie w Zakopanem. W czasie ostatniej wojny wywieziony do Niemiec, przedostał się do Anglii [T.K.].

⁴⁸ Jan Hubert (1892—1954), wychowanek jen. Zamoyskiej, prowadził drukarnię Marii Zamoyskiej w Kuźnicach, przekazaną ok. 1930 r. do Miejsca Piastowego. Był pierwszym zawodnikiem narciarskim i członkiem Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego [T.K.].

⁴⁹ *Babiniec* — przedsionek przed zamkiem, przybudowany przez Jana Działyńskiego, aby zbierający się ubodzy nie czekali na deszczu; obecnie rozebrany podczas remontu zamku.

Introligatorstwa uczył Więckowski, który się kształcił u znakomitego Jahody w Krakowie. Administrację introligatorni prowadziła p. Elżbieta Hankiewiczówna⁵⁰. Oprócz niej były jeszcze dwie uczennice i dwie starsze panie. Więckowski był to jeszcze młody człowiek, zawsześmy się trzymali razem z nim i z Hubertem. Introligatornia była świetnie zaopatrzona w najrozmaitsze rodzaje skór. Wykonywaliśmy wszystkie prace przy oprawie, tylko nie złóciliśmy; to robiła nam firma introligatorska w Zakopanem. Była to duża firma, ale nazwiska jej właściciela nie pamiętam. Płótna też mieliśmy własne, także maszyny i prasy. Oprawialiśmy książki dla szkoły gospodarczej, własne p. Jenerałowej i pań z personelu nauczycielskiego. Jedna z nich, pani de Villers⁵¹, miała bardzo dobre serce. Dobra była kobieta, ale miała zwyczaj, że jak się jej coś nie podobało, to ze swoich książek wycinała. Przychodziły też do oprawy książki z Kórnika, przysyłane przez dra Celichowskiego. Przy oprawie nie obcinaliśmy książek z boku i z dołu, tylko z góry, aby ułatwić usuwanie kurzu; tak sobie życzyła p. Jenerałowa, był to sposób angielski.

W Zakopanem byłem od początku marca do połowy lipca. Raz poszedłem z wizytą do Albertynów; oprowadzili mnie po całym zakładzie, opowiedzieli historię jego powstania, pokazali kaplicę, opowiadali o wychowywanych tam chłopcach. Byli wśród nich tacy, zwłaszcza jeden, z którym, zdawało się, rady już sobie nie dadzą, a później był jednym z najlepszych. Bracia prowadzili rozmaite rzemiosła. Razem było tam około 40 ludzi, ale dawali sobie doskonale radę; chłopcy wyglądali do brze.

Bardzo lubiłem chodzić do Muzeum Tatrzańskiego; mieściło się ono wtedy w drewnianym budynku blisko pomnika Chałubińskiego. Chodziłem też do starego kościoła drewnianego i na cmentarz. Byłem kilka razy w Dolinie Kościeliskiej, na Gubałówce, na Kasprowym Wierchu na nartach, na Kondratowej.

Wielkanocne święta obchodzono w Zakładzie bardzo uroczyście. Zapraszano na święcone około stu osób; było ze dwudziestu górali, był

⁵⁰ Elżbieta Hankiewiczówna, ur. ok. 1876 r., pochodziła z Bnina, była jedną z pierwszych uczennic Zakładu jen. Zamoyskiej, następnie prowadziła w Zakładzie introligatornię, dział bielizny, opiekowała się kaplicą i miała pieczę nad osobistymi rzeczami Marii Zamoyskiej. Zmarła w czasie ostatniej wojny [T.K.].

⁵¹ Stephanie de Villers, wdowa po admirale francuskim, przyjaciółka jen. Zamoyskiej; pożyczyła jej na prowadzenie Szkoły 40 000 fr. Przebywała przez dłuższy czas w Kuźnicach, gdzie zajmowała się apteką i biblioteką, którą wzbogaciła licznymi darami; posiadała tam także własny piękny księgozbiór. Istnieje w Kórniku jej portret, malowany przez Marię Zamoyską. Po śmierci Jenerałowej wróciła do Francji. Zm. w r. 1928 [T.K.].

Mieloch⁵², który pochodził z Kórnik, był dr Chramiec⁵³. Innych nazwisk nie pamiętam, wielu osób nie znałem. Urządzony był wspaiały bufet, pito herbatę, barszcz czerwony, bulion, a częstował sam hr. Władysław. Było to w kilkanaście lat po wygraniu procesu o Morskie Oko⁵⁴. Zona moja była jeszcze w Zakopanem z p. Jenerałową, kiedy się toczył w Hradcu proces o granice Polski i Węgier. Władysław Zamoyski zawiadomił matkę telefonem z Hradca, że proces się rozpoczął. Wtedy Jenerałowa zarządziła odmawianie nowenny cogodzinnej; ukończono ją o godz. 6 wieczorem i w tejże chwili, o szóstej, przyszedł z Hradca telefon, że proces wygrany. Hrabiego bardzo szanowano w Zakopanem nie tylko dlatego, że był właścicielem, ale głównie za przeprowadzenie tego procesu.

Gdy książki kórnickie po oprawie wróciły z powrotem, dr Celichowski zobaczywszy moją robotę sprowadził maszyny i materiał z Lipska i zażądał, żebym wracał. Stało się to tym bardziej konieczne, że Frąckowiak chorował na oczy — miał kataraktę. Frąckowiak znał także Zakopane. On i pan Szymański przewozili Zakład z Kórnik do Kalwarii Zebrzydowskiej i dalej, a później do Zakopanego. Frąckowiak wtedy także trochę dłużej został w Zakopanem, a że miał zdolności artystyczne, kazał go hrabia uczyć rzeźbiarstwa. Wycinał potem różne piękne rzeczy, jak laski, pudełka itp., a nawet wykonał krzyż z figurą Pana Jezusa, który do dziś stoi w kaplicy zamkowej. Ta jedyna rzecz po nim pozostała do tego czasu. Miał on ośmiu synów. Zmarł w r. 1916, przyjechałem z wojska na jego pogrzeb. Bardzo go wszyscy szanowali. Ksiądz Rybicki tak go lubił, że jak przyszedł go poświęcić w trumnie, rozplakał się.

Ja także byłem już wtedy ojcem sporej gromadki. Najstarsza córka Walcia, urodzona w 1907 r., miała już siedem lat; syn Maryś urodził się w r. 1910, Kazio w r. 1913.

Tak zastała nas pierwsza wojna światowa. W czasie wojny, w r. 1916, urodziła się druga córka, Antonina, nazywana w domu Tolą, a po wojnie, już w 1920 r. najmłodszy nasz syn Włodzio.

⁵² Mieloch był kamerdynerem Zamoyskich w Paryżu, po powrocie do kraju pracował w restauracji Kuźnickiej; w czasie pierwszej wojny był przez jakiś czas burmistrzem Zakopanego [T.K.].

⁵³ Andrzej Chramiec, lekarz i właściciel zakładu wodoleczniczego w Zakopanem, zm. w r. 1940 [T.K.].

⁵⁴ W procesie tym, prowadzonym w r. 1904 w Hradcu, sąd polubowny ustalił sporną granicę między Polską (Galicją) a Węgrami, włączając Morskie Oko w granice Polski. Proces prowadził Władysław Zamoyski przy pomocy najwybitniejszych polskich prawników. Wywód prawny przeprowadził Oswald Balzer w oparciu o dokumenty sięgające XIV w. Por. O. Balzer, *O Morskie Oko. Wywód praw polskich...*, Lwów 1906.

II. WOJNA I WOLNOŚĆ

Na wojnę zostałem zmobilizowany w sierpniu 1914 r., ale mnie często dr Celichowski reklamował, więc wracałem co jakiś czas na kilka tygodni, a nawet miesiący, potem mnie znowu brali i tak się przeciągnęło do września 1916 r. Kiedy mnie ostatni raz powołano, poszedłem na front rosyjski koło Mińska; było to zimą, mrozy dochodziły do 38 stopni, zmienialiśmy się co godzinę na posterunkach.

Na krótko przed zawieszeniem broni z Rosją stoczyliśmy ciężką bitwę koło Mińska wśród bagien, było to jesienią 1917 r. Niemcy puścili wtedy gaz, ale wiatr się odwrócił i gaz poszedł na ich wojska, które były zupełnie niezabezpieczone; masa żołnierzy zmarła wtedy po strasznych cierpieniach, prosili, żeby ich dobić. Zginęło też wtenczas sporo Polaków. Dwa metry ode mnie padł granat i zasypał mnie ziemią, ledwie się wydostałem.

Miałem wtedy, jeszcze na tym froncie rosyjskim, zaraz po wybuchu Rewolucji Październikowej, taki ciekawy sen: widziałem trzy orły walczące ze sobą w powietrzu; najpierw się biły ze sobą, a później się zderzyły i dziobami się całowały. To się działo nad naszą stodołą, więc ja wszedłem na stodołę, uchwyciłem jednego orła za skrzydło i wydarłem mu trzy pióra. W tym momencie obudziłem się; pięść miałem tak zaciśniętą, że ją z trudem rozwarłem. Zrozumiałem ten sen tak, że Polska, długo podzielona na części, teraz się odrodzi, walczący pod trzema zaborami Polacy znowu się razem połączą, a ja wolnej Ojczyzny doczekam. Zaraz o tym śnie do żony napisałem; wierzyłem, że mi się spełni. I tak też było.

Już po zawieszeniu broni generał naszej dywizji znowu podjął bitwę; zaraz go odwołano, a nas przerzucono na front francuski. Wojsko z frontu zachodniego, pułki i dywizje wymęczone i częściowo wybite, przesunięto na front wschodni dla odpoczynku. Formowaliśmy naszą dywizję i ćwiczyliśmy się koło Metzu, gotując się do ostatniej ofensywy na Paryż. Gdy ruszyliśmy do boju, w ciągłych bitwach doszliśmy do Marny. Pobito nas pod Château-Thierry⁵⁵.

Było to bardzo bogate miasto. Ofensywa zaskoczyła mieszkańców nagle, tak że uciekali zostawiając wszystko w domach, a nawet nakrycia na stołach. Walczyliśmy tam przez 3 tygodnie, potem zaczął się stały odwrót. Wojsko obratowało Château-Thierry, pakowano wszystko w worki i wysyłano do Niemiec, ale i tak te rzeczy nie doszły — widzieliśmy, cofając się, te paczki i worki wyrzucone z pociągu w czasie ucieczki. Niektórzy na dziecinnych wózkach usiłowali wywozić te zra-

⁵⁵ Château-Thierry n. Marną, 95 km od Paryża, miejsce rozpoczęcia ofensywy amerykańskiej w 1918 r.

bowane rzeczy; widziałem, jak padł granat i żołnierze zostali już przy tych rzeczach i tych wózkach. Francuzi kpili z tych rabunków. Przypominam sobie pismo francuskie, w którym była karykatura Kron-Prinza, uciekającego z lustrem na plecach. Ja niczego nie brałem, ale za to miałem w inny sposób szczęście. Kiedyśmy stali później w Luksemburgii, rozdawano resztki z kantyny żołnierzom, została wreszcie jedna tylko maszynka do golenia, bardzo dobra, postanowiono ją wylosować między kaprali i starszych żołnierzy. Ja też jako starszy żołnierz, a w służbie kapral, należałem do tego, wyciągnąłem los i maszynkę wygrałem. Ale się Niemcom nie podobało, że to Polak ma dostać, więc zarządzili drugie losowanie. No i w tym drugim losowaniu znowu wygrałem. Wtedy mi ją już dali.

Kiedyśmy się znaleźli nad Saint-Quentyńskim kanałem⁵⁶, musieliśmy stoczyć bitwę z armią angielską. Odkomenderowano mnie do dozoru kuchni, bo kapral do tego przydzielony poszedł na urlop i musiałem go zastąpić. Szliśmy z tańcem kuchennym nocą na linię bojową, aby nakarmić walczących. Droga była tak ostrzeliwana, że musieliśmy się zatrzymać; pochowaliśmy się do schronów, ale mój woźnica, który miał 4 konie, musiał przy nich zostać i trzymać je, bo mu uciekały w zasieki i z trudem je stamtąd trzeba było wypłatywać. I tu — fatalna sprawa — po jakimś czasie przy samym schronie padł granat i pokaleczył temu woźnicy obie stopy. Był to Polak. W schronie znajdowali się sanitariusze, ale ze względu na gęsty obstrzał nie chcieli odnieść tego rannego do szpitala polowego. Musiałem go więc sam wziąć na plecy i nieść, chociaż to był mężczyzna większy ode mnie. Nieraz musiałem z nim razem padać, chować się w rów przed pociskami armatnimi, i tak przez przeszło 2 km. Doniosłem go wreszcie do polowego szpitala i musiałem zaraz wracać, szukać mojej kuchni; spędłem całą noc nie znając dobrze drogi, dopiero rano ją odnalazłem. Dano mi później za to krzyż żelazny. Siedem dywizji zostało wtedy obleżonych i wziętych do niewoli. Uciekliśmy nocą, gęsiego, miedzami, używając doskonałych map sztabowych. Wokół ognie, tak że chociaż noce były ciemne, nieraz widno było zupełnie. Widziałem wtedy tak piękne panoramy w czasie bitwy, że zasługiwały, aby je namalować, i nie dziwię się, że niektórzy malarze z upodobaniem bitwy malują.

Cofaliśmy się tak aż do granic Belgii. Tam staliśmy do zawieszenia broni, które nastąpiło 11 listopada 1918 r. Po zawieszeniu broni cofaliśmy się przez Luksemburg do Hachenburga, do linii demarkacyjnej. Tam zatrzymano nas jako Grenzschutz. Ale ja już po trzech dniach zmówiłem się z jednym Niemcem ze Zbąszynia i z jednym Polakiem ze Środy

⁵⁶ Kanał Saint-Quentin łączący dolinę rzeki Escaut z Sommą i Sekwaną. Ostatnie walki trwały tu od 20 X do 11 XI 1918 r.

i odeszliśmy, nie czekając zwolnienia. Jechaliśmy koleją bez biletów; nikt nas o nie nawet nie pytał, bo działała już Soldaten-Rat; odebrano nam tylko broń.

Wróciłem do Kórnika jeszcze w listopadzie 1918 r. Najpierw poszedłem do domu, zastałem tam wszystko w porządku, potem do zamku. Objąłem tam wszystko pod swoją opiekę, bo stary Frąckowiak już nie żył. Po nim opiekował się trochę zamkiem jakiś nauczyciel emeryt, ale pod koniec odszedł, a opiekę objął mój szwagier, Franciszek Konieczny, który dostał urlop i już do wojska nie wrócił. Poza tym musiałem jeszcze chodzić na posterunek, aby pilnować komisarza niemieckiego w tym domu, który dziś milicja zajmuje.

I w Kórniku utworzyła się zaraz po zawieszeniu broni Rada Żołnierska. Należał do niej Melchior Grześkowiak⁵⁷ i inni, zbierali się w hotelu Elmana⁵⁸. Komisarza rozbrajał Franciszek Konieczny. Ja byłem na warcie kilka razy, ale dr Celichowski wycofał mnie, bo musiałem zamku pilnować. Syn jego, dr Stanisław Celichowski⁵⁹, utworzył Kompanię Kórnicką, która walczyła pod Zbąszyniem i odniosła tam zwycięstwo. Kilku synów obywatelskich z Kórniką poległo wtedy i leżą tutaj na cmentarzu. Chciałem się wtedy też zaciągnąć i później jeszcze, ale dr Celichowski na to się nie zgadzał, bo byłem w zamku potrzebny.

Po powrocie do pracy byłem sam bez pomocy przez pół roku, później dostałem chłopca; zmieniali się oni często. Po dawnemu zajmowałem się wysyłką książek, ale prowadziłem także introligatornię i czuwałem nad zamkiem. Zwiedzano go tak jak i dawniej za biletami od dra Celichowskiego, ale rzadko się to teraz zdarzało. Sprzedawaliśmy po wojnie sporo nakładów; pamiętam, że raz samych wrocławianów sprzedaliśmy do Warszawy kilka skrzyń. W ogóle szły wszystkie nakłady ze względu na niską cenę i potrzebę po wojnie książki polskiej. Szkoły kupowały masowo Cyclerona w przekładzie Rykaczewskiego⁶⁰.

Dr Celichowski w dalszym ciągu nie miał nikogo do pomocy, a tu trudno było odnaleźć jakąś rzecz. Interesowało się biblioteką wiele osób, ale Celichowski nie zawsze rad to widział. Pamiętam, raz, kiedy czyściłem bibliotekę batignolską, wpakowali mi się do pokoju goście dra Celichowskiego. Był między nimi też dr Dettloff⁶¹, bardzo się de-

⁵⁷ Melchior Grześkowiak (1869—1955), robotnik [L.M.].

⁵⁸ Hotel Elmana znajdował się w Rynku, naprzeciw ratusza. Dziś plac Niepodległości nr 163.

⁵⁹ Stanisław Celichowski, ur. w r. 1885, znany działacz Stronnictwa Narodowego i emigracyjny.

⁶⁰ M. T. Cicero, *Dzieła*, przełożył E. Rykaczewski, Poznań 1870—1879, t. 1—8

⁶¹ Ks. Szczęsny Dettloff, historyk sztuki, późniejszy prof. Uniwersytetu Poznańskiego.

nerwował, że biblioteka stoi tak porządnie ustawiona na półkach, a pan Celichowski im powiedział, że jest spakowana i nie ma co oglądać. Na samym początku oswobodzenia ze stuletniej niewoli, w r. 1919, przyjmowaliśmy podwieczorkiem w zamku w Sali Herbowej generała amerykańskiego, którego przywiózł z Polwicy oficer polski Kęszycki⁶². Przed zamkiem zebrano ludzi z folwarku w strojach ludowych i urządzono dla nich przyjęcie; generał przemawiał do nich po angielsku, a Kęszycki, który był w polskim mundurze, tłumaczył, że teraz już Polska będzie wolna, że otrzyma pomoc militarną i materialną. Sprawdziło się to ostatnie rzeczywiście, bo zaczęły napływać prowianty, bielezna i inne materiały z Ameryki. Przyjechały też później dwie Amerykanki do Kórniku; właściwie były to Polki, jedną z nich była panna Skorupianka. Robiły dużo dobrego, bo uczyły, jak pielęgnować niemowlęta, udzielały pomocy chorym, opiekowały się ubogimi. Kiedy w 1920 r. urodził mi się najmłodszy syn Władzio, kąpały także i jego. Lubiliśmy bardzo pannę Skorupiankę i chcieliśmy, żeby Władzia do chrztu podawała, ona też sobie tego życzyła. Ale właśnie wtedy wrócili do Kórniku Zamoyscy i panna hrabianka zdecydowała, że ona ze swoim bratem Władysławem będą dziecko do chrztu trzymać, tak jak przed laty jego matkę a moją żonę. I tak też się stało. W ten sposób Władzio miał tych samych chrzestnych rodziców, co i jego matka.

Wkrótce po generale amerykańskim przyjmowaliśmy drugim śniadaniem, tak samo w Sali Herbowej, przedstawicieli koalicji francuskiej i włoskiej; byli to oficerowie w mundurach. Włosi brali udział w polowaniu, które się odbyło w lasach kórnickich. Wszyscy byli owacyjnie przyjmowani przez ludność. Największa owacja była jednak wtedy, gdy przyjechał gen. Haller⁶³. Był u nas na podwieczorku; sala ubrana była chorągwiami i zielenią. Z Kórniku pojechał generał do Poznania. Tam przyjmował go wspaniale w Województwie wojewoda Witold Celichowski. Ja tam też byłem, bo wziął mnie dr Celichowski do pomocy.

W ogóle ludność na różne sposoby okazywała swoją radość z odzyskania niepodległości i spieszyła odradzającemu się państwu z pomocą, na jaką się tylko mogła zdobyć. Utkwiła mi szczególnie w pamięci jedna przekupka kórnicka, która miała wielkie poczucie obywatelskie i społeczne. Nazywała się Kropaczka⁶⁴, handlowała na rynku nabiałem, drobiem i jarzynami, które skupywała, a później sprzedawała na targu. Miała ona taki zwyczaj, że jak utargowała większą ilość drobnych pieniędzy, to je pakowała do węborka, wymyła, wyczyściła, wysuszyła

⁶² Daniel Kęszycki, autor pracy *Wspomnienia z 1919/22...*, Srem 1932.

⁶³ Józef Haller odwiedzał później Kórnik częściej; Maria Zamoyska malowała jego portret.

⁶⁴ Akta miejskie notują rodzinę Kropaczów, robotników [L.M.].

i dopiero czyste dalej znowu w obieg puszczała. Pewnie słyszała o zarazkach na jakim wykładzie z higieny. Miał tych wykładów dużo dr Tłok, bardzo dobrych, na sali Przemysłowców. Otóż kiedy Polska odzyskała niepodległość, a ks. Lisiecki⁶⁵ w Bninie nawoływał do ofiarności dla narodu i do ochotniczej służby w wojsku, Kropaczka oddała na skarb państwa do Banku Spółek Zarobkowych w Bninie wszystkie oszczędności, jakie miała. A chociaż była tylko zwykłą handlarką, taki miała obrót i tak umiała zaoszczędzić, że zaniósła wtedy do banku cały koszyk pieniędzy w samym złocie. Wymieniono jej to na pieniądze papierowe. Potem przyszła dewaluacja i dużo jej przepadło, tak że ostatecznie w biedzie zmarła i nikt wtedy o jej ofiarności dla Polski nie pamiętał.

W r. 1920 wrócili do Kórnika Zamoyscy. Najpierw, w same Zielone Świątki, przyjechał hrabia. Przyjeżdża i zaraz na rynku widzi, że odprawia się nabożeństwo polowe dla harcerzy, na ratuszu i domach polskie sztandary, na zamku powiewa chorągiew. Gdy wszedł do zamku, płakał. Harcerze stali obozem na błoniu za jeziorem, mieli tam duży zjazd. Zwiedzali też zamek; oprowadzał ich sam hrabia i bardzo się nimi cieszył. Później był u nich w obozie na błoniu.

Po przyjeździe hrabiego zaczęły się przygotowania na przyjazd Jenerałowej. Przyjechała wprost z Paryża. Z dworca w Poznaniu przywiózł ją samochodem Witold Celichowski. Na przywitanie przed zamkiem zgromadziło się przeszło 20 osób. Chciałem zrobić jaką dekorację na jej przyjęcie, ale hrabia nie pozwolił. Wziąłem więc tylko kwiaty z oranżerii i ustawiłem przy wejściu i w małym hallu, gdzie dziś wiszą trofea myśliwskie. Jenerałowa wysiadła z samochodu, spojrzała po ludziach i mówi: „A Aniela nie przyszła?” Chodziło jej o moją żonę. A ona miała już wtedy kilkoro dzieci i niełatwo jej było z domu wyjść, zresztą nie chciała się tak od razu pokazywać i narzucać. Ale ja się starałem, jak mogłem, i witałem ich tak szczerze, bo ciągle pamiętałem o tym, co mi hrabia powiedział po pogrzebie Cecylii Działyńskiej, że on tego wszystkiego jest tylko opiekunem, bo chce to oddać na własność narodowi. Do tego, co hrabia otrzymał w spadku, pani Jenerałowa dołączyła własnych 9 wsi z tym samym przeznaczeniem. Hrabia otrzymał po Janie Działyńskim 36 tys. morgów magdeburskich, a narodowi oddał 86 tys., bo resztę wykupił z rąk niemieckich. Ta myśl, żeby dobra kórnickie ofiarować ojczyźnie, wyszła jeszcze od Tytusa Działyńskiego, kiedy się zorientował, że syn jego Jan może nie mieć potomstwa. Myśl tę przejął Jan Działyński i przekazał Zamoyskiemu, synowi swojej siostry, jenerałowej Zamoyskiej.

⁶⁵ Ks. Arkadiusz Lisiecki, biskup śląski, był proboszczem w Bninie w l. 1916--1925.

Jenerałowa, gdy wróciła, miała 90 lat, a w Wielkopolsce nie była od 1885 r., kiedy to została aresztowana i wysiedlona. Smutne było, że znaleźli się oficjaliści, którzy nie byli radzi powrotowi tej staruszki. Ja się większej roboty przy niej nie bałem. Władysław Zamoyski okazywał matce cześć wielką; gdy ją wprowadził do zamku i posadził na tym miejscu, skąd ją Niemcy zabrali, ukląkł i ucałował jej nogi. Nie dziwiłem się temu, bo sam, kiedy wróciłem z wojny i gdy po raz pierwszy zaszedłem do mojej matki, też przed nią upadłem na kolana. Należało się to tym bardziej p. Jenerałowej, która była osobą tak mądrą i tak dobrą. Była tak przewidująca, że niejedno naprzód przewidziała, a zawsze czyniła bardzo dużo dobrego. Znalazłszy się tutaj zaraz na życzenie matek z miasta i okolicy założyła szkołę gospodarstwa domowego. Uważano ją tutaj za świętą. Po jej śmierci modlili się ludzie do niej. Opowiadał mi stolarz Der, że jak nie miał roboty i było mu już bardzo ciężko, modlił się do pani Jenerałowej i zawsze robotę jakąś otrzymał.

Pani Jenerałowa była bardzo sprawiedliwa, sprawiedliwie też oceniała ludzką pracę. Kiedy się dowiedziała, że pracuję od świtu do 9 albo 10 godz. wieczorem, powiedziała: „Kto dwa razy pracuje, dwa razy musi być wynagrodzony” — i rzeczywiście, podniesiono mi potem pensję.

Opowiadała mi raz sama o sobie takie zdarzenie. Kiedy przyjechała do Kórnika w 1881 r., w oficynie, gdzie teraz mieszkamy, była jeszcze masztalernia; stało w niej kilkanaście par koni do wyjazdu, bo kolei jeszcze wtedy nie było, i tutaj przed zamkiem na trawniku był okólnik dla żrebaków. Jednego razu siedziała sobie pani Jenerałowa na stopniach przed zamkiem z kilkoma paniami. Były wśród nich dwie Angielki, dwie Francuzki i Polki, które pracowały z nią przy zakładaniu szkoły dla dziewcząt. Wtedy w rozmowie zapytała je, jaka byłaby dla każdej z nich najbardziej przykra i upokarzająca rzecz? Gdy każda z pań odpowiedziała, pani Jenerałowa, jakby chciała okazać, że jej nic nie jest w stanie upokorzyć, mówi: „Dla mnie to byłoby największe upokorzenie, jakby ten żrebak przeskoczył ogrodzenie i zerwał mi czepek z głowy”. Nie czekała długo, bo jak to powiedziała, żrebak przeskakuje zagrodę, leci wprost do pań, chwytą zębami czepek z głowy pani Jenerałowej i rzuca na ziemię. Innym razem mówiła mi, że to jej wina, że szosa idzie tuż koło zamku, a nie za parkiem, bo ona o to uprosiła swojego ojca Tytusa Działyńskiego. Wydawało się jej, że będzie weselej, bo będzie większy ruch. Miała wtedy kilkanaście lat.

Szkołę, którą pani Jenerałowa otworzyła po powrocie do Kórnik, prowadziła najpierw panna Chłapowska⁶⁶, późniejsza pani Popielowa,

⁶⁶ Józefa Chłapowska, ur. w r. 1869, córka Kazimierza i Anny z Chrapieńskich, żona Wacława Popiela, pracowała w Zakładzie od 1902 do 1920 r. Jedna z najbardziej cenionych kierowniczek Szkoły [T.K.].

razem z panną Stefanią Jaskólską. Panna Chłapowska prowadziła przedtem w Horyni zakład dla chłopców, dzieci bezdomnych po wojnie, częściowo pochodzących z terenów Rosji. W strasznym te dzieci były stanie; niektóre z nich rodzice odnaleźli, pozostałe oddano później do innych zakładów. Była to bardzo zacna osoba i bardzo dobra. Nadzwyczaj było miło, gdy ona szkołę dziewcząt prowadziła. Ale kiedy zmarła jej siostra i zostawiła kilkoro sierot, wyszła za swojego szwagra, żeby się tymi sierotami opiekować. Szkołę objęła panna Jaskólska⁶⁷ i kierowała nią aż do wybuchu ostatniej wojny.

Jenerałowa zajmowała się też żywo miastem, chociaż była już taką staruszką. Pamiętam, że też byłem raz przez nią posłany z p. Zaleską⁶⁸ do dwojga starych ludzi, o których się dowiedziała, że są chorzy i leżą bez opieki. Nie było jednak przy niej dużo osób, chodziło bowiem o to, żeby miała jak najwięcej spokoju. Hrabia odsyłał wszystkich do dra Celi-chowskiego. Nieraz się wtedy posprzeczałem z nim, bo uważałem, że powinien wiedzieć, co się dzieje na folwarkach. Znał moją życzliwość i zawsze mi ustąpił, jak miałem słuszość. Z polecenia hrabiego musiałem wtedy objąć opiekę nad całym zamkiem i wszystko miałem pod swoim zarządem. Po obiedzie szliśmy zwykle obaj do biblioteki, hrabia książki przeglądał i pomagał mi je ustawiać.

Po powrocie Zamoyskich nastąpiły nowe wizyty różnych dygnitarzy duchownych i świeckich, obcych i polskich. Przyjmowano ich zawsze skromnie. W 1923 r. w lipcu, sierpniu i wrześniu stacjonował w Kórniku sztab trzeciej armii polskiej pod dowództwem gen. Skierskiego⁶⁹ i płka Stachiewicza⁷⁰, krewnego marszałka Piłsudskiego. Stali obaj w zamku, w pokojach na pierwszym piętrze, gdzie się dziś mieszczą cimelia i druki XVII w. Reszta sztabu mieszkała w oficynie, w pięciu pokojach gościnnych; stołowali się w hotelu Victoria⁷¹. Było to już po rozwiązaniu tej armii, a sztab kończył swoje sprawy i odpoczywał tutaj. Hrabia przyjmował ich także czasem u siebie kwaśnym mlekiem i kaszą. Chętnie to jedli, bo były wtedy upały. W tym samym czasie były też manewry wojskowe koło Nakła. Przyjechał na nie we wrześniu marszałek Piłsudski ze swoim sztabem, a gen. Skierski i płk Stachiewicz zaprosili go do Kórnika. Przyjmowało go najpierw miasto w rynku; od rynku do

⁶⁷ Stefania Jaskólska (1891—1949) pracowała w Szkole Domowej Pracy Kobiet w Kórniku od 23 III 1925 r.; od r. 1927 była kierowniczką tego Zakładu. Wywieziona przez Niemców przebyła obóz w Rawensbrück.

⁶⁸ Julia Zaleska (1864—1964), wychowanka, nauczycielka, później długoletnia kierowniczka założonej przez jen. Zamoyską Szkoły Domowej Pracy Kobiet w Kuźnicach. Por. T. Kłoczowska, *Julia Zaleska*, „Pamiętnik B. K.”, 1955.

⁶⁹ Leonard Skierski, gen. dyw., ur. w r. 1866.

⁷⁰ Wacław Stachiewicz, gen. bryg., ur. w r. 1894.

⁷¹ Taka była nazwa hotelu Elmanów, por. przyp. 58.

zamku szedł pieszo, prowadzony przez Władysława Zamoyskiego, za nimi sztab, przed nimi chmara dzieciaków, a obok nich dwóch leśniczych z karabinami jako straż honorowa; marszałek i hrabia wyglądali jak aresztanci. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, kiedy to zobaczyłem z zamku. Najpierw był podwieczorek w pokoju pła Stachiewicza, gdzie dziś się mieści wiek XVII; przyniesiono ten podwieczorek z restauracji w hotelu Victoria. Potem złożył Piłsudski wizytę Jenerałowej. Następnie odbyło się zebranie sztabu z manewrów, razem 25 oficerów, w pokoju hrabianki Marii Zamoyskiej, która ustąpiła z niego na ten czas i specjalnieśmy go na to zebranie przygotowali. Posiedzenie trwało do godz. 10 wieczorem. Po zebraniu hrabia zaprosił wszystkich na obiad w Sali Herbowej; obiad był złożony z pięciu dań, suty, ale do popicia była tylko woda w szklankach; nie postawiliśmy nawet wina, chociaż było w piwnicy, ale wydawano je tylko dla chorych, i to nawet w czasie nieobecności Zamoyskich. Raz tylko zrobił hrabia wyjątek i przyjął winem Francuza, pana Bourdil⁷², wielkiego plantatora winnic, który pożyczł hrabiemu dużą sumę na wykup Zakopanego jeszcze przed wojną. Pokazywał mu też wtedy rękopis Napoleona, jaki się u nas znajduje. Ten rękopis chowany był między innymi w specjalnej ochronnej tece w pokoju za galeryjką, do którego drzwi zastawione były szafą, przez którą myśmy tylko umieli przechodzić. W tym pokoju były różne najcenniejsze rzeczy i nikogo nie było wolno tam wpuszczać, specjalnie mię dr Celichowski ostrzegał. Ale raz przyjechał jeszcze jako chłopiec późniejszy rotmistrz Stablewski⁷³ z drugim chłopcem, prosił bardzo, więc ich wpuściłem, a oni pochwalili się przed dr Celichowskim. Krzywił się doktor na to. Teraz ten rotmistrz Stablewski był przy marszałku Piłsudskim jako adiutant i był tu na przyjęciu. Hrabia obserwował oficerów, zauważył, że jedzenie bez popicia ciężko im idzie, więc wstał, zwrócił się do Piłsudskiego jako do naczelnika państwa i powiedział: „Panie Naczelniku, polskiego wina nie mamy, a na obce nie ma pieniędzy”. Marszałek taką oszczędność bardzo pochwalił, goście się spostrzegli, że byli obserwowani, zabrali się do jedzenia, a że było dobre, więc im i bez wina smakowało. Około godz. 12 obiad się skończył, a hrabia przy świetle lamp pokazał Salę Mauretańską ze zbiorami. Kiedy doszli do portretów cara Piotra i Pocieja, Zamoyski wskazał ręką na Pocieja i powiedział: „Panie Naczelniku, już wtenczas takich opilców na posłów wybierano”. A marszałek, wskazując na Piotra Wielkiego, odparł: „Ale ten to był wielki człowiek”. Na to

⁷² Fernand Bourdil, Francuz, przyjaciel W. Zamoyskiego z podróży do Austrii. Sfinansował częściowo wykupienie Zakopanego w r. 1889. Był wraz z Zamoyskim współwłaścicielem wapiennika w Płazie.

⁷³ Stefan Stablewski, ur. 9 II 1895, syn Karola i Anny de Myło, rotm., uczestnik powstania wielkopolskiego; ogłosił szereg prac z zakresu rolnictwa.

Zamoyski coś odpowiedział. Roześmiali się i zakończyli zwiedzanie. Nastrój był wesoły i pogodny. W Czarnej Sali wpisali się do księgi zwiedzających. Pani Jenerałowa przyjęła Piłsudskiego w salonie, rozmawiała z nim we wnęce wychodzącej na park; w obiedzie już udziału nie wzięła. O godz. 1 w nocy wyjechali samochodami na dworzec w Kórniku, gdzie czekał na nich specjalny pociąg.

Przygotowania do utworzenia Fundacji zajmowały p. Jenerałową bardzo; zjeżdżała się do niej rodzina i tu u niej były wszystkie narady i układy. Wiadomo już było wtedy powszechnie, że Kórnik przechodzi na własność narodową; hrabia wyjeżdżał też często w tych sprawach do Warszawy.

W 1922 r. zmarł dr Celichowski po długiej, ciężkiej chorobie, zdaje się na wątrobę. Żałowano go powszechnie. Dra Celichowskiego szanowali wszyscy, bo był to człowiek nadzwyczaj prawy i szlachetnego serca. Pochowano go w Bninie w grobowcu rodzinnym na cmentarzu przy kościele. W czasie ostatniej wojny grobowiec został otwarty przez członków Hitlerjugend, trumny rozbite, a czaszkami ta młodzież niemiecka grała w piłkę.

Po dr Celichowskim objął administrację dr Wilczyński⁷⁴, lekarz, który stale leczył p. Jenerałową, za co mu hrabia był bardzo wdzięczny. Najpierw dojeżdżał ze Żrenicy, później stale mieszkał w pokoju gościnnym na pierwszym piętrze, gdzie dziś znajdują się cimelia. Według podania w tym pokoju zatrzymał się Napoleon w drodze na Moskwę. Jeszcze do moich czasów całe urządzenie, a nawet teczka na stole z przyborami do pisania, czarna, skórzana, z bibułą, zostawała podobno tak, jak było za bytności Napoleona; niczego nie zmieniono. Raz przyjechali chłopcy Czartoryscy z kuzynem Gawrońskim i jak to tacy chłopcy, wścibscy i ciekawi wszystkiego, zainteresowali się teczką. Gawroński wziął ją do lustra i odczytał na niej podpis Napoleona: „Bonaparte”. Ta teczka zaginęła w czasie ostatniej wojny.

Otóż dr Wilczyński wiedział o tym wszystkim i chętnie się w tym pokoju zatrzymywał.

W październiku 1923 r. zakradli się do zamku złodzieje. P. Jenerałowa na 3 dni przed tym przywołała mnie do swego pokoju przez p. Zaleską i ostrzegła, żebym wszystko dobrze pozamykał, bo się złodzieje chcą do zamku dostać. A oni tymczasem przynieśli sobie drabinę wysoką na 10 m — nieśli ją aż 2 km — i tak się przez jedno z okien dostali do muzeum, otworzyli szafy i popakowali plecaki. Cały zamek był wtedy zamieszkały, a goście siedzieli na Czarnej Sali do godz. 1 w nocy, nikt

⁷⁴ Henryk Wilczyński zarządzał majątkami od 1923 do 1925 r. Autor broszur: *W obronie „Zakładów Kórnickich”*..., Warszawa 1926 i *Obrony... ciąg dalszy*, Warszawa 1927. Zmarł 2 II 1935 r.

jednak niczego nie słyszał. Dopiero p. hrabina Zofia Grocholska⁷⁵ usłyszała brzęk ze swego pokoju, gdzie dziś mieści się grafika. Zawołała mnie, wzięliśmy lampy i weszliśmy do muzeum. Złodziej ukrył się pod stołem przykrytym aż do podłogi materia, ale gdyśmy się zbliżyli, wyskoczył, zasłonił twarz ręką i uciekł oknem po drabinie, zostawiwszy plecaki na miejscu. Po jakimś czasie wykryło się, co to byli za jedni.

Wkrótce po bytności marszałka Piłsudskiego, w październiku, p. Jenerałowa położyła się na dobre. Nie cierpiała, ale gasła powoli. Dr Wilczyński chciał ją wyciągnąć na spacer do parku, aby końmi trochę się przejechała, ale tylko raz mu się to udało; na drugi dzień doszła tylko do połowy mostu i zawróciła. Od tego czasu już nie wychodziła. Przed śmiercią ostrzegała swego syna, że ma majątki jak najprędzej oddać na cele narodowe, bo niedługo za nią pójdzie na tamten świat. Rzeczywiście, po 11 miesiącach i on zmarł. Do mnie powiedziała wtedy: „Czuwaj, bo mojemu synowi grozi niebezpieczeństwo”. I to się też sprawdziło.

Zmarła 3 listopada 1923 r. Pogrzeb był bardzo skromny, bez rozgłosu; z rodziny i z dygnitarzy było razem 40 osób. Pochowano ją w kościele pod dawną zakrystią, a że chciano położyć trwałą, marmurową posadzkę i zrobić miejsce na wstawienie trumny, postanowiono pogłębić grobowiec. Przy wydobywaniu ziemi murarze natrafili na deski trumny, w której znajdował się szkielet męski i topór położony przy nogach. Bardzo mnie to zajęło. Obejrzałem go starannie i przekonałem się, że takie topory widywałem na rysunkach z XVI w. Było to tym dziwniejsze, że w takim miejscu, pod zakrystią, mógł być pochowany tylko ktoś znaczny. Chciałem dostać ten topór do muzeum, ale mi go murarze nie chcieli oddać; dali go później gosposi ks. Rybickiego, a ona nim drzewo rąbała, bo był jeszcze bardzo ostry, wreszcie gdzieś zaginął. Panu hrabiemu nie mówiłem o tym, bo miał wtedy zmartwienia, a szkoda, bo sprawa była dziwna, zastanawiająca, z jakiego powodu do trumny mógł być włożony topór⁷⁶. W kilka lat później pokazała się w tym grobowcu woda, tak że posadzkę trzeba było zasypać i nową wyżej ułożyć. Teraz jest spokój.

Za to udał mi się inny nabytek dla muzeum, ale to pewnie było trochę później. Zaszedłem raz do Wesołka⁷⁷ i zauważyłem u niego gliniany

⁷⁵ Zofia Grocholska (1866—1957), córka Stanisława Zamoyskiego i Róży z Potockich, współpracowniczka Władysława Zamoyskiego i opiekunka zbiorów po jego śmierci; przekazała je władzom Fundacji „Zakłady Kórnickie”.

⁷⁶ Przyjaźń Stanisława Górki ze Zborowskimi naprowadza na przypuszczenie, że odkryto tutaj trumnę Samuela Zborowskiego, której losy nie zostały dotąd bezspornie ustalone.

⁷⁷ Stanisław Wesołek, ur. 8 V 1887, syn Michała i Marianny z Krupeckich, bratanek Marcina Wesołka, długoletniego stróża zamkowego, bardzo zasłużonego. Pracownik ogrodów kórnickich od r. 1922, dziś Zakładu Dendrologii i Pomologii. Żona Katarzyna z domu Wawrzyniak, ur. w 1884 r.

garnuszek, malowany w białe maki. Podobał mi się, więc mi go Wesołkowa ofiarowała. Wykopała go z ziemi pod schodami w swoim domu i tak się jej spodobał, że go sobie powiesiła na kołeczku na ścianie i nie pozwoliła używać. W tym domu była dawniej olejarnia pani Gajewskiej⁷⁸, która wychowywała panią Majewską. Była to bardzo dobra i miła kobieta. Dzbanuszek mógł być jej własnością, bo używała podobnych przy sprzedawaniu oleju. Pochodził z garncarni kórnickiej, która tu dawniej podobno istniała⁷⁹. Ucieszyłem się bardzo, kiedy mi go Wesołkowa ofiarowała, bo widziałem, że ma on swoją wartość, i przyniosłem go do zamku. Teraz się okazało, że to jest unikat, jedyny egzemplarz wielkopolskiej ceramiki malowanej.

Był w zamku drugi jeszcze taki garnuszek, który wydobyłem z rupieciarni w piwnicy, miał on tło szaroniebieskie, całe pokryte modrozielonymi kwiatami, także w kształcie maków. Ten był o wiele starszy, zieloną glazurę miał tej samej barwy, co kafle na jednym piecu, pochodzącym z XVII w. Piec ten stał w pokoju służbowym w piwnicy; rozebrano go i kafle częściowo użyto do innych pieców, resztę zniszczyli robotnicy przy przebudowie baszty i wyrzucili. Jakoś nikt się wtedy tym nie zajął.

Zachowane w dużej ilości w piwnicy kafle kominkowe figuralne mają też glazurę zieloną, ale inną, bardzo ciemną. Natomiast podobną glazurę szaroniebieską zauważyłem na kafelkach wykopanych z zamczyska nad jeziorem⁸⁰ przez chłopców Czartoryskich z Rokosowa.

Garnuszek ten, na który bardzo lubiłem patrzeć i trzymałem zawsze razem z moim garnuszkiem od Wesołka, spodobał się już po wojnie jednej zwiedzającej pani. Strasznie prosiła, żebym go jej dał. Miałem z nią kłopot, bo była w odmiennym stanie, więc przykro było jej odmawiać, ale musiałem to zrobić, tłumacząc, że nie jest to moja prywatna własność, tylko zamkowa. Zdaje się była to jakaś historyczka sztuki. Wreszcie ustąpiła, ale z wielkim żalem. I trzeba trafia, że w kilka dni później garnuszek spadł i rozbił się na drobne kawałki.

Już po śmierci p. Jenerałowej, w 1924 r., byłem raz z p. hrabią w ubie-

⁷⁸ Michalina Gajewska, z domu Ciesielska, zm. w r. 1910. Dom, w którym mieściła się olejarnia, sprzedała W. Zamoyskiemu, lecz mieszkała w nim dożywotnio.

⁷⁹ Nie udało się ustalić, gdzie na terenie miasta mogła się ta garncarnia znajdować. Widocznie działała krótko lub była związana z cegielnią zamkową, znajdującą się po drugiej stronie jeziora naprzeciw Prowentu. Istniejący w mieście skład piecarsko-ceramiczny zaopatrywał się głównie w kafle w Poznaniu. Garnki gliniane kupowano przeważnie na jarmarkach z garncarni w Mosinie, której wyroby odznaczały się ładnym kształtem i piękną zieloną glazurą.

⁸⁰ W lesie czołowskim, przy szosie do Rogalina, znajduje się zarośnięte drzewami wzgórze po dawnym zamku, dotąd nie zbadane; odkopywano tam części murów z gołyckiej cegły, cegłę z glazurą itp.

ralni, kiedy przyjechali z Rogowa młodzi Grocholscy, rotm. Remigiusz i Henryk. Jechali do banku do Poznania i p. Remigiusz prosił: „Niech Wujcio załatwi z nami sprawę Rogowa, żebyśmy to mogli już prawidłowo przeprowadzić”. A na to p. hrabia: „Już raz wam powiedziałem, że sprawa jest ostatecznie załatwiona i dajcie mi święty spokój”. Widocznie darował im tę sumę, za którą wykupił dla nich Rogowo.

W 1924 r. hrabia jeździł częściej do Warszawy w sprawie przekazania majątków narodowi. Miał jakieś trudności, bo zawsze przyjeżdżał bardzo struty. Chodziło zdaje się o uprawnienia Związku Zamoyskich. Pan hrabia uważał za słuszne i chciał, żeby Związek miał kontrolę i prowadził sprawy, a dr Wilczyński nie chciał do tego dopuścić, żądał plenipotencji dla siebie samego. Słyszałem, jak raz p. hrabia mu odpowiedział: „Raz w życiu tylko takie głupstwo zrobiłem, że dałem plenipotencję, drugi raz tego nie zrobię”. Było to jeszcze w pełni lata, siedzieli sobie wtedy na moście. Dr Wilczyński prosił, żeby hr. Grocholska wywarła w tym kierunku wpływ na hrabiego, ale ona odpowiedziała: „Nigdy tego nie zrobię”.

Hrabianka Maria Zamoyska⁸¹ była wtedy przez jakiś czas w Kórniku, później wyjechała do Zakopanego. Po jej wyjeździe doszło do wielkiego nieporozumienia między hrabią a drem Wilczyńskim. Po kolacji około godz. 7 wieczorem doktor poszedł do pokoju p. hrabiego i do godz. 10 toczyła się między nimi głośna rozmowa, wprost jakaś walka. Pani hr. Grocholska zaniepokojona nie szła spać, tylko czuwała, a ja też słuchałem z mojego pokoju, co tam się dzieje. O godz. 10 obaj przeszli do pokoju dra Wilczyńskiego, nad moim pokojem służbowym; słyszałem gwałtowną rozmowę i tupanie z gniewu nogami. Tak trwało do rana. Oboje z hrabiną Grocholską czuwaliliśmy. Hrabia szedł na górę już bardzo zmęczony i przygnębiony. Rano, gdy wyszedł od p. Wilczyńskiego, był na pół nieprzytomny. Zamknął się i nie kazał do siebie nikogo wpuszczać. Tego samego dnia położył się i nie wstał już więcej. Chorował tak dwa tygodnie, leżąc w swoim pokoju na biurku. Gdy był już bardzo słaby, przenieśliśmy go na łóżko. Od dra Wilczyńskiego nie chciał przyjmować żadnego lekarstwa. Doktor po paru dniach wyjechał do Warszawy, a hrabiego leczył dr Jagliński z Poznania. Cierpiał hrabia na nieustanne ciężkie bóle głowy; gdy przykładaliśmy mu lód, czuł się lepiej. Może to było zapalenie mózgu. Ciągłe w czasie tej choroby czekał na wiadomość z sejmku w sprawie Fundacji. Wreszcie, na dwa dni przed śmiercią, otrzymał telegram, że naród przyjął fundację.

Były to ciężkie chwile. Sam nie wiem, skąd mi się wtedy brały siły.

⁸¹ Maria Zamoyska (1860—1937), córka gen. Władysława Zamoyskiego i Jadwigi z Działyńskich, współtwórczyni Fundacji „Zakłady Kórnickie”.

Dr Jagliński widząc, ile jest pracy w zamku i przy panu hrabim, powiedział, że tak dalej być nie może, że ja się muszę zająć tylko zamkiem, a do opieki nad p. hrabią przywiózł siostrę elżbietankę z Poznania. Była przy nim aż do śmierci. Hrabia rozmawiał z nią o mnie i powiedział — i to były prawie ostatnie jego słowa — żeby mnie się żadna krzywda nie działa za moje poświęcenie. Siostra powtórzyła to p. Grocholskiej i p. Potockiemu i rzeczywiście dostałem później lepsze pobory.

Hrabia miał organizm trochę wyczerpany, bo zawsze na sobie oszczędzał. Wystrzegał się stałe mięsa, jadał tylko jarskie potrawy. Przy przyjęciach, żeby nie robić trudności, jadł wprawdzie mięso, ale bardzo mało. W kuchni nie mogli patrzeć na to jego codzienne odżywianie się, więc żeby jedzenie było pożywniejsze, dodawano do ryżu zmielone mięso z kur. Spostrzegł to jednak i nie pozwolił tak robić. Zmniejszono wtedy porcję mięsa, ale dodawano go zawsze trochę, żeby jedzenie nie było tak całkowicie jałowe. Porcje dla siebie wyznaczał sam, bo twierdził, że mu zawsze za dużo dają. W ogóle jadał nieregularnie, bo jak się zajął jakąś sprawą, zapominał o jedzeniu. A wzrostu miał przecież blisko 2 m. Chodził bardzo lekko ubrany, zawsze tylko w marynarce, więc też nieraz kaszlał. Dawali mu wtedy ubite jajka z kuchni, gniewał się o to, ale jak już były naszykowane, zjadał. Pani Jenerałowa, gdy wyjeżdżał, kazała mu wsunąć do kieszeni płaszcza tabliczkę czekolady; sam nigdy by sobie nie kupił, ale jak miał w kieszeni, to już zjadł. Po śmierci p. Jenerałowej prowadził jeszcze surowsze życie. Raz zwrócił mu uwagę ks. Lisiecki z Bnina, późniejszy biskup, że żadna pokuta po sześćdziesiątce nie jest przez Boga przyjmowana, wtedy mu odpowiedział, że tak postanowił i tak do śmierci chce wytrwać.

Na kilka dni przed śmiercią hrabiego przyjechali do niego hr. Jan Potocki z Rymanowa, ks. Witold Czartoryski z Pełkini i hr. Jan Zamoyski. Wysłali do rodziny telegramy, donosząc o beznadziejnym stanie chorego, ale dziwnym przypadkiem zapomnieli o rodzonej siostrze, która była wtedy w Zakopanem. Kiedy mi dr Jagliński powiedział, że koniec się zbliża, wysłałem do niej depezę sam od siebie: „Przyjazd natychmiast konieczny”. Przyjechała na dwa dni przed śmiercią. Hrabia się ucieszył, a hrabianka wdzięczna była nadzwyczaj temu, co ją powiadomił, ale ja się nie przyznałem.

Umierał Władysław Zamoyski bardzo spokojnie. Po śmierci w jego pokoju ustawiliśmy ołtarz i tak już zostało w tym pokoju do dziś. Odprawiała się przy nim msza św. przed eksportacją. Straż honorową trzymali leśnicy. My, najbliżsi pracownicy, Kozak, Konieczny, ja i jeszcze jeden, wynieśliśmy trumnę na próg. Na progu od nas odebrali ją krowni i nieśli przez most do stopni; od mostu do kościoła nieśli ją leśniczowie. Pochód pogrzebowy wyglądał wspaniale; było już ciemno, więc na prze-

dzie szli harcerze z pochodniami; platany rosnące przy szosie schodziły się konarami u góry i wyglądało tak, jakbyśmy się posuwali w jakichś katakumbach. Czegoś równie pięknego nie widziałem. Była moc ludzi; przyjechali górale z Zakopanego i zarzucili trumnę wieńcami z kosodrzewiny; byli uczeni, delegacje rządowe, wiele delegacji z Poznania. Eksporował ks. infułat. Na drugi dzień o godz. 10 rano odprawiono mszę św. z wigiliami, później odbył się pogrzeb. Przemawiał ks. Lisiecki z Bnina. Po pogrzebie odbyło się przyjęcie w zamku.

Panna hrabianka po utworzeniu Fundacji miała dożywocie i jeden pokój w zamku do swojego użytku. Jeszcze za życia brata prowadziła w Kórniku zakład wychowawczy dla chłopców; chodziło jej o to, żeby im dać przy tym jakiś zawód. Głównie zajmowano się w tym zakładzie plecieniem różnych wyrobów z trzciny i ~~łob~~busia; uczyła tego jakaś kobieta, pochodząca z kresów, niestety, nazwiska jej nie pamiętam. Wykonywano w tym zakładzie bardzo piękne rzeczy, ale chłopcy byli rozpuszczeni, bo nie mieli dobrego, energicznego wychowawcy. Ten zakład został zlikwidowany w 1926 r. Założyła wtedy hrabianka szkołę kilimiarską dla dziewcząt. Robienia kilimów uczyła jakaś kobieta z Zakopanego, nazwiskiem Czerniakowa⁸², która się bardzo dobrze znała na tym i piękne rzeczy robiła. Panna hrabianka sama była artystką malarką, więc umiała takie prace właściwie oceniać, dawała też własne, bardzo ładne projekty. Ta pracownia mieściła się w zamkowej oficynie, zwanej Klauzdynówką. Zwinięto ją w r. 1930.

Hrabianka zawsze interesowała się żywo pracami w zamku. Mnie nazywała „Stanisław dobrej rady”, bo zawsze jej dobrze doradziłem, a było z nią nieraz ciężko, bo była bardzo łatwowierna i każdy gałgan mógł ją oszukać. Miała bardzo piękny głos i pięknie śpiewała do późnej starości. Bardzo dobrze uczyła śpiewu swoją własną metodą; kilka naszych śpiewaczek z opery ona wyuczyła. Tak samo pięknie malowała, zwłaszcza portrety, ale nie zostawiła wielu prac, bo nie miała dosyć cierpliwości. Najbardziej lubiła zacząć, podmalować i nie dokończyć. Ale mimo to kilka jej prac malarskich jest w zamku; znajduje się tutaj też koszyk do papierów pięknie pleciony przez chłopców z jej zakładu, tylko się kilim żaden nie zachował.

Po panu hrabim też niewiele osobistych rzeczy zostało, chociaż pisał notatki ze swojego życia, zapisywał wszystkie rozmowy, jakie w sprawach polskich prowadził. Przed pokojem wersalskim stoczył z Dmowskim walkę o włączenie do granic Polski Śląska i Pomorza. W ogóle odegrał wtedy ważną, choć cichą rolę. Pokój jego w Paryżu był wtedy wyłożony mapami, zapraszał do siebie dygnitarzy, pokazywał i tłumaczył, ale ofi-

⁸² Bednarzowa, z domu Czerniak.

cialnie nie występował. Gdzie te materiały zostawił, nie wiem. Przed wojną miałem nadzieję, że są gdzieś u rodziny, może w Rogowie u hr. Grocholskiej, może w Związku Zamoyskich. Teraz nie wiadomo zupełnie, co się z nimi stać mogło. Wiem, że w tych notatkach pisał także o mnie.

Pierwsze zebranie kuratorium nowo utworzonej Fundacji odbyło się w Warszawie wkrótce po pogrzebie hrabiego, następne było w Poznaniu. Administrację objął tymczasowo p. Szymborski⁸³, który i po śmierci dra Celichowskiego opiekował się przejściowo wszystkim, a później przyszedł p. Antoni Pacyński⁸⁴; kierował on majątkami aż do drugiej wojny światowej. Biblioteka otrzymała wreszcie osobnego dyrektora. Został nim dr Władysław Pociecha⁸⁵ z Krakowa. Pierwszy raz przyjechał dr Pociecha jeszcze za życia hrabiego, aby się zorientować. Gdy zameldowałem hrabiemu gościa, powiedział: „Tak, pan Pociecha przyjechał mnie pocieszyć, ale już za późno”. I zaraz go przyjął, a leżał już chory na swoim biurku.

Dr Pociecha kierował biblioteką przez rok 1925. Pracowałem przy nim, bo nikogo jeszcze do pomocy nie było. Wszystkie zbiory mieściły się tak jak dawniej, tylko bibliotekę batignolską już w r. 1921 lub 1922 wywieziono. Przyjechali po nią jakiś pan i dr Rygiel⁸⁶, który został przy pakowaniu; p. Zaleska i p. hrabia pomagali nam w układaniu książek do dużych skrzyń, które zrobiono specjalnie na tartaku; było tego razem dwa wagony. Dopiero w ostatniej chwili przyszło rozporządzenie, żeby do Wilna przekazać tylko leleweliana, reszta miała zostać w Warszawie. Później przyjechał dr Bodniak i pracował razem z dyr. Pocięchą. Od r. 1927 przyszedł nowy dyrektor, dr Grycz. Praca ruszyła teraz na dobre. Do biblioteki przybyły jeszcze dwie pracowniczki, mnie do pomocy przybył mój syn. Przyjechał z Krakowa dr Piekarski⁸⁷ i opracował polonica XVI w., przyjeżdżał ks. dr Majkowski⁸⁸ i opisał inkunabuły. Został wtedy

⁸³ Wincenty Szymborski, od r. 1903 administrator dóbr Zakopane, po r. 1920 przeniesiony do Kórniku ze względu na chorobę serca. Zmarł w Krakowie na krótko przed ostatnią wojną [T.K.].

⁸⁴ Antoni Pacyński, ur. 1 VI 1883 r., syn Walentego i Józefy, naczelnik administracyjny Fundacji od r. 1925. Rozstrzelany przez Niemców 20 X 1939 r.

⁸⁵ Władysław Pociecha (1893—1958), syn Michała, artysty malarza, i Walerii z Muszyńskich; kierownik Działu Rękopisów Bibl. Jag. Był dyrektorem Biblioteki Kórnickiej w l. 1926—1928.

⁸⁶ Stefan Henryk Rygiel, ur. 7 IV 1887 r., syn Henryka i Leonii z Borszów, dyrektor Bibl. Uniw. i Bibl. im. Wróblewskich w Wilnie, następnie dyr. Bibl. Uniw. w Warszawie, zginął w obozie w Belsen Bergen w lutym 1945 r.

⁸⁷ Kazimierz Piekarski, ur. 30 III 1893 r., syn Witolda i Klotyldy z Wróblewskich; jeden z najwybitniejszych bibliotekarzy polskich ostatniej doby, autor licznych prac, m. in. *Katalogu Biblioteki Kórnickiej. Polonica XVI w.* Zmarł 6 II 1944 r. w Łowiczu.

⁸⁸ Ks. Edmund Majkowski (1892—1951), syn Leona i Stanisławy ze Stefano-

wprowadzony taki układ w magazynach, jaki jest mniej więcej do dziś. Tylko cimelia i wiek XVII ustawiliśmy dopiero po ostatniej wojnie w tych pokojach, gdzie teraz są.

Już po śmierci hrabiego kuratorium wraz z panną hrabianką przyjmowało w zamku prezydenta Wojciechowskiego. Później odwiedził nas także prezydent Mościcki. W r. 1929 był u nas wielki zjazd bibliotekarzy z całej Polski, urządził wtedy dr Grycz wspaniałe przyjęcie. W czasie P.W.K. ogromny był zjazd w Poznaniu różnych także zagranicznych gości, przeważnie przyjeżdżali też do Kórnik. Pewnego razu przyjechali Turcy, prosili o pokazanie jakiej tureckiej książki. Bibliotekarka, panna Fiedziuszko, późniejsza pani Łuczakowa, pokazała im książkę perską i turecką: ta druga książka to był *Koran*. Stary Turek wziął go do ręki, obejrzał i lzy mu popłynęły z oczu.

Dr Grycz przeszedł wkrótce z Kórnik do ministerstwa w Warszawie, a dyrektorem został dr Bodniak. To, co się przy nich działo, to sprawy już znane i opisane w życiorysach obu tych dyrektorów⁸⁹, nie będę więc mówić już o tych kilku latach, a opowiem to, co przeżywalismy w czasie ostatniej wojny.

OKUPACJA

Pierwsza kompania wojska niemieckiego w 1939 r. weszła do Kórnik 10 września. Tutejsi Niemcy zebrali się na rynku, a generał przemówił do nich, że oddaje im Kórnik na wieczne czasy, *auf Ewigkeit*. Do zamku przyszedł kapitan z ordynansem, mówiącym po polsku, bo pochodził z Poznania. Zapytali, czy zamek jest zamieszkany, czy nie ma tu wojska, czy się nie ukrywa w lasach, i żądali ode mnie broni. Powiedziałem, że broń jest tutaj zabytkowa, muzealna, ale mogę oddać swój własny browning z nabojami. Po kilku dniach przyszli znowu, żeby zająć zamek na kwaterę dla jednej kompanii. Ja odpowiedziałem, że to jest rzecz niemożliwa, bo zamek jest zabytkiem; że zbudowany jest według projektu niemieckiego architekta Schinkla. Kapitan ustąpił i pojechali szukać kwatery gdzie indziej, ale nie znaleźli, więc wrócili do mnie. Znowu tłumaczyłem, znowu pojechał, ale tutejsi Niemcy go namawiali, zwłaszcza Brückner i Foliantowie, więc jeszcze raz wrócili. Pokazałem mu wtedy na podłodze w kaplicy swastykę, że to jest tak, jak Hacken-Kreuz, wtedy zasalutował i już na dobre odszedł, ale zajął oficynę nad

wiczów, wybitny bibliofil, autor prac z dziedziny bibliografii historycznej, numizmatyki i archiwistyki; był proboszczem kórnickim od r. 1945.

⁸⁹ Józef Grycz (1890—1954), dyrektor Biblioteki Kórnickiej w l. 1928—1929. Por. W. Pocięcha, *Józef Grycz. Człowiek i dzieło*, „Pamiętnik B. K.”, 1955, z. 5. Stanisław Bodniak (1897—1952), dyrektor Biblioteki od 1929 r. Por. S. Bodniak, *Życiorys własny*, „Pamiętnik B. K.”, 1955, z. 5.

jeziorem. Na posłanie brali żołnierze nasze nakłady, dużo poniszczyli. Druga oficyna, w której mieściła się szkoła, już też była zajęta. Musiałem pomagać Niemcowi Wiznerowi z Bnina przy urządzaniu tych kwater. Wizner zaziębił się i wkrótce umarł. Wykorzystałem ten fakt po aresztowaniu i na niego złożyłem dostarczenie aparatów radiowych do zamku — niczego mi nie mogli udowodnić.

26 września zjawili się dwu gestapowców i jeden cywilny, kazali się paniom bibliotekarkom usunąć z zamku, następnie opieczętowali cały zamek, piwnicę i wejście do hallu. Tłumaczyłem im, że ja muszę w zamku pozostać, bo ktoś tu musi być na wypadek pożaru. Zgodzili się na to. Prosiliśmy ich, aby pozwolili przenieść książki, schowane do piwnic, z powrotem na górę, żeby tam nie spleśniały. Pozwolili; wykonali tę pracę robotnicy z ogrodów, którzy nam przyszli pomagać. Nie było czasu na układanie; więc złożyli je tylko na stosy w magazynach na drugim piętrze. Najcenniejsze rękopisy i stare druki oraz obiekty muzealne zapakowaliśmy jeszcze w sierpniu w skrzynie i wywieźli do Warszawy, do Biblioteki Zamoyskich. Tam je ukryto w sklepionych piwnicach. Reszta rękopisów, starych druków i dyplomów była schowana we wnęzkach głównego korytarza na parterze, XVI wiek obcy w małym hallu myśliwskim. Z chwilą, kiedy nałożono pieczęcie na drzwi od kaplicy i od głównego korytarza, nie miałem już nigdzie dostępu, tylko do mojego służbowego pokoju. Pieczęcie były z napisem: *Sicherheits Polizei Einsatz Kommando-Bukowy Las*. Bardzo mnie to zastanowiło, bo Bukowy Las leży za Środą; przed wojną było tam bardzo wielu Niemców, dawniejszych kolonistów. Od czasu do czasu przyjeżdżali do zamku różni generałowie, zdzierano wtedy pieczęcie, ktoś ich zawsze oprowadzał, a po odejściu znowu pieczęcie zakładał. Dopiero jak przyszedł na Prowent stały administrator całej Fundacji, Eimter-Bäumer, pieczęcie zerwał, a klucze mnie oddał. Zaraz po wybuchu wojny, we wrześniu, cofająca się przez Bnin i Kórnik armia polska wysadzała za sobą mosty w powietrze. Kiedy wysadzono most za parkiem na szosie, wyleciało w zamku od strony południowej 47 szyb. Mieliśmy z tym wielki kłopot, bo nigdzie nie można było dostać szkła, żeby szyby powstawić. Nająłem więc Antoniego Molika i Władysława Przybyła, żeby okna chociaż tymczasowo pozabijać deskami. Przypomniało mi się jednak, że mamy dwa oszklone wiatraki do wystawy grafiki; powyjmowaliśmy z nich szyby i zabezpieczyli okna w dolnych pokojach i w Sali Mauretańskiej. Wszystkie portrety, które w obawie przed bombami zniesione były do piwnic i po tygodniu zaczęły się od wilgoci fałdować, wnieśliśmy zaraz z powrotem na górę i popowieszali na dawnych miejscach.

Administracja nasza miała początkowo także ciągłe kłopoty, głównie

przez tutejszych Niemców. I tak od p. Gmytrasiewicza⁹⁰ żądali kórnickcy Niemcy, żeby im pozwolić zabierać drzewo z lasu. Odpowiedział na to, że musi mieć w rachunkach drzewo zachodowane, bo jest za administrację odpowiedzialny, i żądał od nich zapłaty, a gdy płacić nie chcieli, żądał pokwitowania, i na to się nie godzili; wtedy zakazał im drzewo wydawać. Szczególnie zacięty był Drange, właściciel gospodarki w Kamionkach. Pewnego razu, gdy była wyznaczona sprzedaż ryb nad jeziorem przy oficynie, a pan Gmytrasiewicz tę sprawę załatwiał z rybakami Fundacji, nadszedł też oficer — leutnant, był już nastawiony odpowiednio i wściekły; przyczepił się do tego, że mu się p. Gmytrasiewicz nie uklonił, wymyślał mu w straszny sposób, tak że wszyscy ludzie pouciekali. Ale p. Gmytrasiewicz i tak mu się nie kłaniał. Kiedy z nim później rozmawiałem, ostrzegałem go, żeby tego nie robił, że ma przecież i żonę, i dzieci, odpowiedział mi, że się przed nimi nigdy nie upokorzy. Gdy brano zakładników w październiku, których w tydzień później rozstrzelano, wzięto go z łóżka, bo był właśnie chory. Tak samo chorego wzięli dawnego burmistrza Wolniewicza⁹¹. Z Fundacji zginął wtedy jeszcze p. Elman⁹², kierownik tartaku, i pan naczelnik Antoni Pacyński. Z ratusza, gdzie ich trzymano, poprowadzono ich do szkoły, tam się odbył niby sąd nad nimi, a po osądzeniu prowadzono ich z gołymi głowami i bez marynarek na rozstrzelanie. Szli między szpalerem ludności, złożonym z najbliższych rodzin, żon, dzieci, rodziców.

W 1940 r. rozpoczęto poszukiwania wywiezionych przez nas w sierpniu 1939 r. trzynastu skrzyń z najcenniejszymi zbiorami. Najpierw dwukrotnie szukali wysłańcy Uniwersytetu w Poznaniu, lecz niczego nie odnaleźli. Dopiero za trzecim razem pojechał sam rektor Streit i odnalazł w ostatniej piwnicy spalonej Biblioteki Zamoyskich naszych dwanaście nie uszkodzonych skrzyń. Spłonęła skrzynia trzynasta ze srebr-

⁹⁰ Jan Gmytrasiewicz, ur. 2 VII 1891 r., syn Jana i Emilii Januszowskiej. Ukończył Akademię Handlową we Lwowie w r. 1911. Od r. 1933 główny księgowy Fundacji „Zakłady Kórnickie”, jeden z najbardziej zasłużonych jej pracowników. W czasie okupacji dzięki jego usilnym staraniom Fundacja uznana została także przez władze niemieckie jako „Stiftung” i ochroniona przed rozproszeniem. Rozstrzelany w Kórniku 20 X 1939.

⁹¹ Teofil Wolniewicz, ur. 16 XII 1896 r., syn Józefa i Marii z Charzyńskich, hallerczyk, od r. 1925 zasłużony burmistrz Kórnik; w r. 1937 przeszedł na emeryturę z powodu choroby serca. Wielki miłośnik kwiatów, hodował zwłaszcza przepiękne petunie, które sam zapylał. Pracował w kontakcie z wielkimi firmami ogrodniczymi w Polsce. Rozstrzelany w Kórniku 20 X 1939 r.

⁹² Alfons Elman (1907—1939). Od r. 1927 pracownik, od r. 1934 kierownik tartaku w Gądkach. Rozstrzelany przez Niemców 20 X 1939 naprzeciwko rodzinnego domu, w którym przebywała jeszcze wówczas matka jego i brat.

nym rokokowym stołem, która była gdzie indziej schowana. Odszukane skrzynie przywieziono na dworzec w Poznaniu, tam stoczyła się od razu walka między Eimter-Bäumerem i przedstawicielem Uniwersytetu, który nie chciał skrzyń wydać. Wreszcie się pogodzili, zwyciężył Eimter-Bäumer. Pojechalismy z Józwą Nowakiem i przywieźliśmy skrzynie do zamku. Jedna ze skrzyń, z bronią zabytkową, była uszkodzona, kilka sztuk brakowało. Po paru dniach otrzymałem polecenie rozpakowania tego i ustawienia tak, jak było przed wojną, w obecności siostry żony Eimter-Bäumera i urzędnika Rokosa. Według spisu brakowało kilku numerów. Kazano mi zanotować, że one są na miejscu. Sprzeciwiłem się temu, więc zaznaczono wreszcie, że ich nie ma. Między innymi brakowało karabinka, który gen. Jan Konopka otrzymał od Napoleona za waleczność pod Albukerą; było to wyryte po francusku na srebrnej tabliczce na kolbie⁹³. Sprzeciwiłem się też wystawieniu przedmiotów cennych, schowałem je do kasy. W kilka dni później, w niedzielę, przyprowadził Eimter-Bäumer rektora Streita. Patrząc, a za nimi idzie służąca z dwoma pucharami szklanymi i flaszką szampana. W hallu na pierwszym piętrze przy wielkim oknie, przy ośmiobocznym stole, który tam wtedy stał, wypili sobie tę flaszkę na cześć odzyskania zbiorów. Cieszyli się, że im się udało wszystko odnaleźć i że to będzie już ich na zawsze. I dobrze, że je odnaleźli, bo nie wiadomo, co by się później z nimi stało.

Tego samego 1940 roku przyjechała do Kórniku z Warszawy dr Orańska⁹⁴, kustosz muzeum. Wpuściłem ją do zamku formalnie, jakby osobę zwiedzającą. Przejrzelismy cały zamek, skontrolowaliśmy, jaki jest stan najcenniejszych obrazów zabezpieczonych w skrzyniach. Drugi raz badaliśmy te obrazy z p. Jasińską, trzeci raz sam je otwierałem na jej polecenie. Najlepsza nasza porcelana była zakopana w piwnicy. Ostrzegaliśmy mnie Walery Konieczny, że Eimter-Bäumer wspomina o tej porcelanie, i radził mi, żebym ją wydobył, bo mogę za nią jeszcze wisieć. Ale ja się nie spieszyłem; kiedy o nią pytano, odpowiadałem, że jest zachowana w piwnicach, jak będzie potrzebna, to się wyjmie, ale nigdy nie wyjąłem; a jak urządzali jakie przyjęcie, to musieli pożyczać porcelanę w Kórniku. Pewnego razu, gdy byłem z Eimter-Bäumerem w piwnicy, zauważył, że ziemia jest popekana, i zapytał, co to znaczy. Odpowiedziałem, że tu odkopywano ziemię do pali fundamentów przed projektowanym

⁹³ Sygn. M.K. 1991: napis: *Par ordre de S.M. L'Emp. et Roi Napoléon cette carabine d'honneur est donnée par S.E. le Duc de Feltre... à Mr Jean Konopka... par l'affaire d'Albukera en Espagne... an 1811...*

⁹⁴ Józefa Orańska z Sandurskich (1896—1955), kustosz działu muzealnego Biblioteki Kórnickiej od r. 1932. Por. A. Chyczewska, Józefa Orańska, „Pamiętnik B. K.”, 1955, z. 5.

remontem, ale nie dodałem, że później, w sierpniu, tam schowaliśmy porcelanę.

Przyjechał też w 1940 r. dyrektor Muzeum Poznańskiego Rölle z kilkoma mężczyznami, aby wybrać broje na wystawę do Muzeum. Brali te broje, które uznali za germańskie i hiszpańskie, bo mówili do mnie, że germańskie i hiszpańskie to jest to samo. Był wśród nich jeden młody człowiek, nazwiskiem Walter. Ten obserwował mnie na każdym kroku, a zorientowawszy się, że jestem Polakiem, zwraca się do dyrektora i mówi: *Und der Pole noch hier?* Przy nich był oficer w mundurze majora, z którym właśnie wybierałem te broje. Przy każdej broi pytał mnie, z jakiego wieku ona jest, i zawsze mnie poprawiał, że o sto lat wcześniejsza, niż ja mówiłem. Powiedział mi, że my się nie znamy na brojach polskich, ale on studiował tego rodzaju zabytki, to się na nich zna. I dodał, że Polacy to był naród o wielkim męstwie i sile, że nie tylko walczył o swoją wolność, ale i o wolność innych narodów. Gdy doszliśmy do broi karaceńskich, powiedział: To są broje XVI i XVII w., ale jeszcze za sarmackich czasów takie brojne karaceny noszono. Miał akcent wiedeński, był bardzo łagodny i delikatny. Prawdopodobnie był Austriakiem. Wybraliśmy wtedy 29 sztuk broi na wystawę.

Wiosną tegoż roku przyszedł Eimter-Bäumer ze swoim szoferem Gruhnem, Polakiem, do zamku, żeby zbierać szlachetne metale na urodziny Hitlera. Byłem o tym uprzedzony trzy dni wcześniej i dużo rzeczy zabytkowych schowałem, jak np. duże popiersia Jana i Władysława Zamoyskich, które ukryłem w piwnicy. Eimter-Bäumer mówił po drodze do Gruhna, żeby mi się przyglądał, bo będę płakał, jak mi będą te muzealne eksponaty zabierać. Najpierw przeszliśmy wszystkie pokoje. W salonie upatrzył sobie brąz: postać Adama Jerzego Czartoryskiego w pozycji siedzącej z arkuszem papieru w ręce, na którym było wypisane: „Bądź co bądź”. Wtenczas zaproponowałem, że mu pokażę metale niepotrzebne, a tej figurki nie będzie potrzeba zabierać. Zeszliśmy więc od razu do piwnic, tam wybrał do 100 kg metalu z potłuczonych kotłów i uszkodzonych gaśnic, ale mimo to wrócił do salonu po figurkę. Powiedziałem mu, że się widać nie zna na sztuce, kiedy taką zabytkową rzecz zabiera. Oburzył się na to, a kiedy z gniewu ochłonął, mówił do mnie: „Dostałem rozkaz, że wszystko, co jest w metalu po XVIII w., zabrać, ale wam tego nie chcę robić, a tego Czartoryskiego właśnie zabiorę, żeby pokazać naszym, że i te rzeczy też wziąłem”. Po wybrany metal zajechał Nowak wozem i zabierał, a figurkę musiał przy Eimter-Bäumerze roztrzaskać siekierą.

W 1942 r. zwiedziło zamek kilku starszych wiekiem oficerów pruskich. Wypytywali o rodzinę Zamoyskich, o historię Fundacji, bardzo im się wszystko podobało. Wyrzili się wtedy do mnie, że Niemcy nie

będą takimi głupcami jak Napoleon i na Moskwę nie pójda. Inaczej mówił mi urzędnik Rokos, gdy urządzał ze mną kwatery dla żołnierzy: „Teraz zdobyliśmy Francję i idziemy na Bałkany, a jak zdobędziemy Bałkany, to pójdziemy na Rosję. Rosja będzie dla Niemiec tym, czym była dla Anglii Ameryka”. Rzeczywiście w niedługi czas po tej bytności oficerów dowiedzieliśmy się, że Niemcy uderzyli na Rosję.

Na wiosnę 1942 r. był nalot na Poznań. Greiser uląkł się tego nalotu i dał rozkaz Glotzowi, który był administratorem po odejściu Eimter-Bäumera, żeby wszystkie zbiory chować do piwnic; na pierwszym miejscu był wymieniony ołtarz polowy Jana Sobieskiego. Zainteresowało mnie to i pytam, dlaczego ołtarz, przecież są w zamku cenniejsze rzeczy. Na to mi Glotz odpowiedział: „Przypuszczamy, że ten ołtarz był pod Wiedniem, a tam walczone w obronie niemieczyny”. Nie mogliśmy jednak chować zbiorów do piwnic, bo im tam groziła pleśń, więc tylko zapakowaliśmy je w kufry i schowaliśmy w niszach przy korytarzu. Kiedy już większa część była spakowana i pochowana, przyjechał dyrektor Muzeum w Poznaniu Rölle z kilkoma panami, żeby zająć się tym osobiście; powiedziałem mu, że już wszystko zrobione, awanturował się, ale mu wytłumaczyłem, że taki był rozkaz Gauleitera, i odjechał z kwitkiem. W rozkazie było polecenie, aby pochować przede wszystkim rzeczy największe, a ja najpierw pochowałem wszystko, co drobniejsze, a większe na ostatku. Obrazy schowałem wtedy do buduaru przy Herbowej Sali. I tak wszystko przetrwało aż do 1945 r.

Także w 1942 r., w pełni lata, przyjechał artysta malarz, Niemiec w starszym wieku, aby wybrać 30 portretów bez względu na to, czy są, czy nie są rodzinne, i kazał mi się po całym zamku oprowadzać. A kiedyś już obeszliliśmy wszystko, usiadł w stołowym pokoju i pyta mnie, ile tych obrazów mamy w Zamku. Odpowiedziałem mu, że z dużymi i małymi mamy ich około 300. A on chwycił się za głowę i powiada: *Um Gottes Willen! was wollen sie machen mit den Gemälde?* Skorzystałem z tego i przedstawiłem, że tutaj jest spokój, że tu nic obrazom nie grozi, więc lepiej, żeby na miejscu do końca wojny zostały. Zgodził się ze mną, przystał na to i powiedział, że tak tę sprawę przedstawi. Od tego czasu już się nie pokazał, niczego też nie wybrał ani ponotował. Dopiero po jakimś czasie przyjechali inni urzędnicy z Uniwersytetu w Poznaniu i zabrali pięć obrazów: portret Mikołaja Kopernika, Van Goyena, *Bramę Wenecką*, *Bitwę* i *Sjesta przed oberżą*. Ten ostatni zaginął, cztery pierwsze wróciły do Kórniku w 1944 r. *Sjesta przed oberżą* wyglądała tak: ścianę oberży widać było po prawej stronie obrazu, przed nią, na środku obrazu, stał stół, przy stole siedziały 3 osoby w strojach holenderskich, jedna kobieta i dwóch mężczyzn; oknem wyglądała druga kobieta; przy stole leżał pies.

Oprócz tego obrazu zaginął jeszcze w czasie wojny portret Wandy Radziwiłłówny, wysłany w r. 1939 profesorowi Rutkowskiemu na Zamek w Warszawie do konserwacji. Radziwiłłówna, widoczna po kolana, trzymała w ręku lilię, stojącą w doniczce na stole.

Przypomnę tu od razu i meble, które nam zaginęły: komódka — sekretarzyk w stylu Ludwika XV z 12 szufladkami z jasnego drzewa, okucia brązowe; stół okrągły na podstawie czworokątnej z czterema nogami o stopach lwich brązowych, z płytą intarsjowaną sękami ciętymi na sztorc, w stylu empire; stół prostokątny składany, czarny, prawdopodobnie hebanowy, pokryty zielonym suknem; dwie szafeczki, jedna chińska z czerwoną laką wewnątrz, druga japońska, cała ciemna, bardzo piękna, obie z ozdobnymi okuciami brązowymi. Były one zabrane do willi Greisera, myśleliśmy, że je tam potrzebano, ale — zdaje się — wyjęto tylko drzwiczki szafki chińskiej, które wróciły do Kórniku, reszta może się jeszcze gdzie błąka.

W kilka dni po tej wizycie przyjechali pruscy oficerowie, zwrócili uwagę na to, że kilku obrazów brakuje, i pytali, co się z nimi stało. Odpowiedziałem, że je zabrano do upiększenia pracowni na Uniwersytecie. Oburzyli się na to i mówili, że to musi tutaj z powrotem wrócić. Ale one wróciły dopiero w dwa lata później, zapakowane w skrzyniach razem z innymi urządzeniami Uniwersytetu.

26 września, w sobotę, zauważyłem, że całe popołudnie kręcili się i obserwowali zamek jacyś mężczyźni po cywilnemu ubrani. Byłem w zamku z obydwoma moimi synami, Kaziem i Władziem; sypialiśmy tutaj dla większego bezpieczeństwa zbiorów. Od 1940 r. mieliśmy u siebie dwa aparaty radiowe na usługach tajnej polskiej organizacji. Główny zarząd organizacji mieścił się u leśniczego Śwignia⁹⁵ na Drapace I. Należeli do niego obaj Szczepaniakowie⁹⁶, narzeczona starszego Szczepaniaka, Władzio i jeszcze kilka osób. Władzio chwycił wiadomości przez radio i pisał na maszynie, u Śwignia odbijano je na powielaczu, kolportował najwięcej Stępnia⁹⁷ z Kórniku. Rozchodziły się te gazetki szeroko, szły do Poznania, a stamtąd dalej pociągami przez kolejarzy. Oprócz tej była jeszcze inna gazetka, redagowana przez nauczycieli. Ta miała charakter demokratyczny.

⁹⁵ Józef Śwignia, ur. 11 III 1903 r., leśniczy na Drapace od 1928 r. Skazany na śmierć w Dreźnie 7 VII 1943 r.

⁹⁶ Józef Szczepaniak, ur. 25 VI 1909 r., syn Wojciecha i Marianny z Piekarskich. Władysław Szczepaniak, brat Józefa, ur. 13 V 1913 r. Pochodzili oni z Dzieńmierowa.

⁹⁷ Jan Stępnia, ur. w r. 1914 w Konarskiem pod Kórnikiem, księgowy wójtostwa w Kórniku, stracony w Rawiczu 8 VII 1943 r., syn Walentego i Marii z domu Heydrich.

Ze Świgioniem i Szczepaniakiem mało miałem do czynienia, wszystko załatwiał Władzio. Szczepaniak chciał, żebym składał przysięgę, bał się, żebym nie zdradził, odmówiłem. Przed przysięgą musiałbym się wyświadczać i być przygotowanym do komunii św., bez tego nie przysięgam. Bali się starego żołnierza, co zna karność; oni na nieszczęście nie byli żołnierzami, nie znali wcale żadnego rygoru i przez to też w końcu wpadli. Organizacja zawiązana została zaraz po wybuchu wojny, a główną sprężyną był starszy Szczepaniak, Józef, akademik. Na śledztwie nie chcieli później Niemcy wierzyć, że wszystko robił sam, bez porozumienia z Warszawą i zagranicą, męczyli go strasznie, ale on nie zdradził, że takie porozumienie jednak było. Po aresztowaniu wożono go po różnych więzieniach w Niemczech, był w Lipsku, potem w Dreźnie; raz spotkaliśmy się w jednym więzieniu, był tak wycieńczony, że nie był już w ogóle zdolny do życia.

Na dwa dni przed aresztowaniem śniło mi się, że przyszedł do mnie gestapowiec z trzema pistoletami; powiedziałem o tym żonie, a ona: „No, trudno, co się stanie, to musimy wszystko znieść”. W organizacji domyślano się, że Niemcy już coś wiedzą, był plan, żeby się rozjechać, ale nie zdążono tego wykonać.

Przyszli po nas 26 września o godz. 11 wieczorem, zadzwonili, weszło ich pięciu, kazali nam się ubrać. Mnie wzięli niby tylko dla przesłuchania. Zamek był otoczony dokoła. Zamknąłem wejście, a klucze wzięłem ze sobą, bo miałem wrócić. Wzięli nas na posterunek w Kórniku. Może i lepiej, że mnie wzięli, bo wszystko zostało na opiece szwagierki, Franciszki Koniecznej, a ona na każde pytanie odpowiadała, że nic nie wie, i dzięki temu nie dotarli nigdy do najcenniejszych rzeczy w Zamku. Na posterunku byli i inni. Katowali ich tak straszliwie, że słuchając tego bicia dwa razy zemdlałem. Zdejmowali do tego bicia marynarki. Walkowiaka⁹⁸ z Dachowy zbili tak, że stracił przytomność. Wreszcie związali nas, wrzucili na samochody i zawieźli do Domu Żołnierza w Poznaniu. Tam męczyli nas bardzo, i to od pierwszej chwili. W Domu Żołnierza była podwójna brama, nim otworzyli drugą, już zamykali pierwszą, aby nas zdusić; potem każdego wsadzali osobno. Kiedy się ocknąłem z tego wszystkiego, przypomniało mi się, żeśmy się nie porozumieli, co będziemy zeznawać w razie przesłuchiwania. A że mam od młodości nabożeństwo do św. Antoniego, udałem się w myślach do niego i mówiłem mu, że nigdy nic od niego nie żądałem, ale teraz proszę, żeby przynajmniej w tej

⁹⁸ Walkowiak z Dachowy, z zawodu murarz. Bliższych danych na razie nie udało się ustalić.

Dane o wszystkich aresztowanych wraz z wyrokami sądowymi znajdują się w „Rejestrze karnym” prowadzonym na wójtostwie w Kórniku. Rejestr ten po wojnie przekazano M.O.

krytycznej chwili zrobił coś, abyśmy się mogli porozumieć, co mamy zeznawać. To było w niedzielę rano. I nie potrzebowałem długo czekać, bo w niedzielę po południu gestapowiec po cywilnemu ubrany, młody, gładko po polsku mówiący, zbiera nas z cel pojedynczych na jedną większą i w ten sposób się do nas odzywa: „Teraz was specjalnie zebrałem na to, żebyście się porozumieli, i jak jutro przyjdzie do przesłuchów, żebyście wiedzieli, co gadać, żeby to niedługo trwało”. To było nasze wybawienie, bo zaraz Kazia i Władzia wypytałem, co już zeznali, i powiedziałem im, jak dalej mają zeznawać. Tak też zawsze obaj mówili. Na tej sali było nas zebranych jedenastu, leżał tam też Walkowiak i jęczał. Nie było Józefa Szczepaniaka, bo jego już wcześniej aresztowali i trzymali osobno. Później aresztowali jeszcze kilka osób, w końcu było nas razem 63 osoby. Innych nie wyłapali. Był między tymi ostatnimi gazmistrz kórnicki, Woźniak⁹⁹. Ten dużo wiedział; gdyby był mówił, pół Kórnika byłoby poszło. A bał się aresztowania, bo rozumiał, że nie zawsze człowiek wtedy za siebie odpowiada. Gdy się więc spodziewał, że mogą już po niego przyjść, zginął wskutek wypadku w gazowni, który podobno upozorował.

W Domu Żołnierza męczyli nas bardzo. Syn Władzio wyznał w tych mękach, że miał aparaty fotograficzne, bo wiedzieli już o tym i o to go stale pytali. Jak się przyznał, przywieźli go do Kórnika i aparaty wydobyli.

Jednym z tych aparatów wykonał Władzio kilkadziesiąt zdjęć różnych obiektów w zamku i z odbitek utworzył trzy zbiorki, które przechowywaliśmy jako ostatnią dokumentację zamku, w trzech różnych miejscach¹⁰⁰. Wykonywał te zdjęcia w nocy przy magnezji albo w naszym pokoju służbowym, albo wprost po pokojach, z wielką ostrożnością, bo tam nie było zaciemnień. Jedno z tych zdjęć, szafy flamandzkiej, oddało po wojnie wielką usługę: szafę tę, rozbitą w styczniu 1945 r. na drobne kawałki, udało się konserwatorowi, stolarzowi Stanisławowi Kozłowskiemu, złożyć jedynie na podstawie tej fotografii.

Z Domu Żołnierza wzięli nas na fort siódmy; zmarli tam Walkowiak i Władysław Szczepaniak, ogrodnik. Trzymali nas tam sześć tygodni bez światła i bez powietrza. Po tych sześciu tygodniach wyprowadzili nas na plac bez czapek i tam, przy 20 stopniach mrozu urządzili nam gimnastykę, a potem kazali nam biegać po śniegu pod górę i na dół, wreszcie musieliśmy obejść dookoła szubienicę, żeby się jej przyjrzeć, i w końcu kazali się umyć w śniegu. Byliśmy tak zmarnowani, że przez pół godziny

⁹⁹ Stanisław Woźniak, gazmistrz, ur. 2 X 1904 r. Zginął w r. 1942.

¹⁰⁰ Błon fotograficznych dostarczał potajemnie Henryk Drożak, aresztowany 11 XI 1942 r. wraz z bratem Bolesławem i więziony w Rawiczu i innych więzieniach.

w celi nie mogliśmy przyjść do siebie. Rano wyprowadzali nas do ustępu; zawsze wtedy przy bramie, żeby kto nie uciekł, stało dwóch żołdaków z karabinami nadzianymi bagnetami i psami. Szczuli nas tak, że nieraz psy wyrzywały więźniowi ubranie razem z ciałem; raz uskokczyłem w bok, żeby się uchronić, to dostałem za to bykowcem w głowę. Kiedy wynosiliśmy kubły z cel, a który rozlał na korytarzu, kazali mu usiąść, drudzy więźniowie ciągnęli go za nogi i tak siedzeniem wycierał to, co rozlał. Jeden z naszych współwięźniów widział, jak zanurzali człowieka w kloace po samą brodę za to, że nic nie chciał zeznać. Kiedy mdlał, musieli go więźniowie pod strażą dozorców wyciągnąć i oblewać zimną wodą; nic z niego nie mogli wydobyć. Na naszej sali był taki więzień, którego co dzień rano brali na przesłuchy i musiał powtarzać wszystko, co współwięźniowie mówili; był już skazany na śmierć, może myślał, że się uratuje, ale go ta zdrada nie ochroniła. Było też tam kilku oficerów polskich; ci mogli spacerować bez opieki, bo już byli skazani na śmierć.

Kiedy nas mieli wywozić stamtąd, zebrali nas na placu i odczytali nam wyrok: że jesteśmy bez żadnych praw, że się do praw nie możemy odwoływać, że mogą z nami zrobić, co zechcą.

16 grudnia przewieźli nas do więzienia śledczego do Zwickau. Podzielono nas tam na grupy; każda grupa wykonywała inne prace. Część więźniów pracowała w metalu: robili części do czołgów, do gąsienic. Wszystko w ich pracowni otoczone było elektrycznością; przechodziłmy koło okien, tośmy widzieli. Syn Kazio razem z dwudziestoma innymi wychodził na robotę przy szpitalu; wystarał się tam nieraz o jedzenie i przynosił nam; czasem mu odebrali, bo rewidowali tę grupę co kilka dni. Dostawali tam też papierosy; raz dał Kazio tego papierosa zięciowi¹⁰¹, a on go zapalił przy pracy. Zauważyli to i skazali go na 7 dni ciężkiego więzienia o wodzie i suchym chlebie; tylko raz na trzy dni ciepła strawa. Kiedy wyszedł, chwiał się na nogach z osłabienia. Z Zwickau przewieźli nas na 1 dzień w czerwcu 1943 r. do Drezna dla przeprowadzenia kwarantanny, bo u jednego więźnia znaleźli świerzb; wykąpali nas więc i dobrze nam też wtedy dali jeść. Drezdeńskie więzienie było wspaniałe, przypominało ładny hotel, ale nad drzwiami były po 3 kółka czerwone — oznaczało to, że cele zajmują skazani na śmierć. Nas umieszczono na dużych salach, a spacer odbywał się na korytarzach, na których znajdowały się wielkie witrażowe okna. Stamtąd zabrali nas do Budziszyna na rozprawę, gdzie byliśmy przez 2 tygodnie. Na tej rozprawie zapadł wyrok śmierci na syna mojego Władzia, na Świgionia, Szczepaniaka i jego narzeczoną Malińską¹⁰². Gdy wychodzi-

¹⁰¹ Franciszek Skrzypczak, ur. 19 VIII 1907 r., syn Jana i Katarzyny z domu Slachetka. Aresztowany 11 XI 1942.

¹⁰² Sabina Malińska pochodziła z Poznania, z zawodu była nauczycielką.

liśmy wtedy z rozprawy, zatrzymano nas przy furcie między więzieniem a sądem, abyśmy się mogli pożegnać. Tam dałem synowi ostatnie błogosławieństwo. Wtedy widziałem go ostatni raz. Rozstawszy się ze mną napisał jeszcze ostatni swój list do matki. Odczytałem go dopiero po powrocie do domu. Przytaczam go tutaj w całości, jako jeden z dokumentów pozostałych po tych, którzy otrzymali wyrok śmierci.

Godz. 12⁰⁰ 8/7 43

W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Najdroższa Matko!

Dzisiaj o godzinie 18 stoję przed Sądem Najwyższego. Kończy się krótka droga mego życia, a zarazem będzie to kres wszystkich moich cierpień. Umieram z całym spokojem i zadowoleniem. Wiem, że nie byłem dobrym synem ani bratem, ale proszę Was w ostatniej chwili mego życia o przebaczenie. Módlcie się za mnie, aby dobry Bóg przyjął mnie do Siebie i dał mi „wieczny odpoczynek” i przebaczył mi wszystkie moje grzechy.

Ojciec udzielił mi zaraz po osądzeniu błogosławieństwa ojcowskiego i przebaczył mi wszystkie przewinienia.

Zegnam Was, Najdrożsi, Matkę, Ojca, Tolę, Walcię, Kazia, Marycha, Franka, wszystkich krewnych i znajomych, oraz proszę Was gorąco o wybaczenie wszelkiego zła i o modlitwę za umarłego. Chciałem wszystko jak najlepiej. Do ostatniej chwili modłę się za Was i za moje ideały.

Niech Bóg ma Was w Swej świętej opiece i chroni Wasze kroki przed wszystkimi przykrościami.

Zawsze was kochający syn, brat i znajomy

Władek Małeckie

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Kazio sądzony był z drugą partią w Zgorzelicach, a trzecia partia, w której był zięć i dr Langner¹⁰³, była sądzona w Rawiczu. Tam został skazany na śmierć sekretarz wójtostwa Stępiak i nauczyciel z Dachowy Weychan¹⁰⁴; ten strasznie rozpacział, że zostawia synka, ale się potem uspokoił. Aresztowany razem z zięciem Mistrz¹⁰⁵ zmarł w więzieniu w Zwickau na suchoty. Ja, jako starszy, pracowałem wewnątrz więzienia;

¹⁰³ Dr Leon Langner, ur. 15 III 1913 r., syn Tomasza i Antoniny z Hypkich, lekarz w Kórniku od czerwca 1940 r., aresztowany 27 IX 1942 r. Naraził się miejscowym Niemcom, szczególnie Drangemu, ponieważ odmówił wraz z żoną wpisania się na listę Volksdeutschow.

¹⁰⁴ Bohdan Weychan, nauczyciel z Dachowy, w czasie okupacji mieszkał w Rokowie.

¹⁰⁵ Alfons Mistrz, kupiec, ur. 3 III 1904 r., syn Augustyna i Apolonii z Adamskich, zm. w Zwickau na gruźlicę 29 VI 1943 r. Anna Mistrzowa, córka Józefa Kleinerta i Joanny z domu Berch, zm. 17 III 1943 w szpitalu w Środzie, na drugi dzień

Mistrzaka wzięli do wożenia jedzenia dla robotników przy kolei; lekko ubrany, bez ruchu, bo tylko jeździł, przy mrozie dochodzącym do 15°, zaziębił się ciężko. Umierając oddał zięciowi w opiekę swoją córeczkę, która się urodziła już po jego aresztowaniu; matka dziecka zmarła przy urodzeniu. Córka moja była przy niej do ostatniej chwili i zaopiekowała się od razu niemowlęciem, a po śmierci Mistrzaka wychowywała ją jako własne dziecko. Oboje Mistrzakowie to byli bardzo dzielni ludzie; mogli zostać Volksdeutsche, bo ona miała krewnych Niemców, jednak nie chcieli i nie zrobili tego.

Z Budziszyna przewieziono nas do Wrocławia, do sądu więziennego, i umieszczono w piwnicach. W tych, które były przeznaczone na 40 ludzi, siedziało nas 70; ani stać, ani leżeć swobodnie nie było można; jeść musieliśmy bez łyżek. W dodatku całe ściany były pokryte ruszającymi się pluskwami; siedziały za rurami, a potem wychodziły. Pluskwy były we wszystkich więzieniach, ale czegoś podobnego nigdy nie widziałem; po prostu chciały nas zjeść.

Byliśmy tam przez Zielone Świątki. Po 2 dniach rozdzielili nas i kilkunastu posłali do więzienia karnego w Rawiczu do pracy. Był tam też syn Kazio, aresztowani z nami Bartkowiacy, Pelec i inni, ale byliśmy rozrzućeni na różnych oddziałach. Zmarł tam Kania, z własnej winy, bo po rwaniu zęba zapalił papierosa mimo ostrzeżenia lekarza i dostał zakażenia. Zmarł też przy operacji wrzodu pan Czachowski¹⁰⁶, krawiec, który i w więzieniu pracował jako mistrz krawiecki. Ja się nie meldowałem do żadnej pracy, więc dali mnie do plecenia warkoczy z różnych lumpów; oplatano nimi poduszki o 2 uchach, które następnie oblewano gumą; szły podobno do portu. Prace te wykonywaliśmy w tzw. maciarni, w browarze na mieście. Robiliśmy tam też z tych lumpów makaty, dywany, nieraz bardzo ładne rzeczy, ze skórek wyrabiali sobie więźniowie paski do zegarków w kształcie pięknie plecionej bransolety; nosili je ukryte na ręce; raz zrobiono rewizję i odebrano więźniom dwa kosze tych bransolet. Ja znowu robiłem co innego — dostawaliśmy tam żyłетки do cięcia tych lumpów, brałem je i w ustach przenosiłem, żeby wyciąć jednemu z więźniów odciski i wrosnięte paznokcie, bo już zupełnie chodzić nie mógł.

po urodzeniu córki Janiny Kazimieri. (Imię Kazimierz, Kazimiera dodawano w czasie okupacji wszystkim noworodkom pochodzenia polskiego na polecenie władz niemieckich.)

¹⁰⁶ Jan Czachowski, ur. 16 VI 1885 r., syn Romana i Franciszki z Rogalskich. Brał czynny udział w życiu kulturalnym i społecznym Kórnik, był opiekunem i wychowawcą młodzieży, którą gromadził u siebie jeszcze przed odzyskaniem niepodległości. Współzałożyciel harcerstwa w Kórniku. Aresztowany w październiku 1939 r. jako zakładnik, ułaskawiony został na prośbę Niemca Meiera. Aresztowany po raz drugi w r. 1942, zmarł 23 VII 1944 r. w Rawiczu.

Praca w maciarni była bardzo ciężka. Przenieśli mnie wreszcie od tej roboty do introligatorni i tam mi się byt znacznie polepszył, bo miałem i jedzenie lepsze, i byłem w osobnej celi, tak że przyszedłem trochę do siebie; jak mnie po trzech tygodniach zobaczyli towarzysze z maciarni, poznać mnie nie mogli, tak się poprawiłem. Pracowałem tam też od samego początku Kazio; dozorca, tzw. Werkmeister introligatorni, ostrzegał mnie, żebym jak najmniej spotykał się z synem, ale przy obiedzie sadzał nas tak, że zawsze mogliśmy na siebie patrzeć. Pracowaliśmy zawsze we czterech przy jednym stole. Jednego razu dał mi dozorca na dłonie 5 kawałków chleba do rozdania między więźniów; były to tzw. warsztatówki — dodatkowe skibki chleba dla pracujących w warsztatach; był taki zwyczaj, że ten, który rozdawał, miał prawo wybrać sobie największy kawałek chleba. Ja tego nie zrobiłem, tylko zacząłem od przodownika, a sam wziąłem na końcu. Zauważył to widocznie, bo podszedł i rzucił mi na ręce jeszcze jedną skibkę. Był taki dobry dla mnie od czasu jak naprawiłem jedną książkę, stary druk czeski. Karta tytułowa miała ładną rycinę: dwa stojące smoki trzymały herb; herb ten był wycięty; zaprawiłem dziurę tak dobranym papierem, że nie było śladu wycięcia — to mu się tak podobało. Książki dostawaliśmy do naprawy całymi skrzyniami; były wśród nich i polskie stare druki, a także francuskie, angielskie, stare i nowe.

Było też z nami dwu braci Ratajczaków z Kórnika, jeden pracował jako kucharz, drugi był kalefaktorem, to znaczy roznosił jedzenie po celach. Oni bardzo się starali o to, żeby jak najwięcej więźniom wydawać jedzenia, specjalnie też pamiętali o mnie, bo mnie znali jeszcze z Kórnika. Kiedy wróciłem, chciałem im za tę dobroć i opiekę wynagrodzić i dać im zboża ze swego deputatu. Ale mi podziękowali i nic nie przyjęli, bo, jak powiadali, chcieli, żeby nie oni mnie coś zawdzięczali, ale ja im, według tego, co napisał Mickiewicz: „Niech Pocięj Macieja, a nie Maciej Pocięja ma za dobrodzieja”.

Przypomina mi się drugie zdarzenie, wręcz przeciwne. Kiedy raz nie dostałem obiadu za niewykonanie na czas swego pensum, prosiłem znajomego kalefaktora, którego nazwiska nie chcę wyjawić, żeby mi na kolację za zezwoleniem dozorczy więziennego dołał więcej zupy, bo obiadu nie jadłem, to odpowiedział tylko „Komu?” — i nie dodał, poszedł sobie.

Niektóre grupy więźniów wysłano na roboty, inne wracały z robót. Pod koniec lata wysłano też Kazia w głąb Niemiec. Na początku stycznia zauważyłem raz jakiś ruch dziwny i całą noc obserwowałem, jak do kościoła Franciszkanów w obrębie więzienia przywozili całe wały materii; to było z Łodzi.

Więźniowie, którzy wychodzili na miasto, przynosili ze sobą gazety



Jan Gmytrasiewicz



Władysław Małecki

niemieckie, więc wiedzieliśmy już, że się Niemcy gwałtownie cofają, i dobrześmy sobie mogli sytuację wyobrazić. Jeden więzień, spryciarz, miał pod szafami schowaną mapę. Kiedy Werkmeister wychodził, oglądał ją i ustawiał szpilki dla oznaczenia ruchów wojsk. Wreszcie dozorca zauważył tę mapę, zrobił wielką awanturę, ale już go na żadną karę nie skazał. Nikt się już Niemców nie bał, a więźniowie, jak poczuli wolność blisko, zachowywali się nieraz bardzo nieostrożnie — wcale już im nawet nie chodziło o życie.

Nadszedł wreszcie piątek 19 stycznia; wtedy dowiedzieliśmy się, że Rosjanie są już w Ostrowie. W sobotę przed południem zebrano wszystkich więźniów, kilkudziesięciu wyłączono, a około 1000 wyprowadzono pieszo do Niemiec z całym ekwipunkiem: po 2 ubrania, bielezna, koce i prowiant; tak mieli iść na pracę do Niemiec. Nas, pozostałych, komendant więzienia i burmistrz rawicki zebrali po obiedzie i pytają, dokąd pójdziemy, jak nas puszcza. Odpowiadali jeden po drugim i wymieniali różne miejscowości: Łódź, Kalisz, Warszawę, Ostrów. Kiedy posłyszeli o Ostrowie, mówią: po co tam chcecie iść, tam są już Ruski. A na to odpowiada jakiś redaktor z Warszawy: „To są nasi i my się ich nie boimy”. Była to wielka odwaga tak odpowiedzieć, bo nie wiadomo jeszcze było, co z nami zrobią; mieliśmy być podobno wytruci. Niemcowi aż szczęki zwały się ze złości, ale zamilkł, a kiedy się uspokoił, kazali nam za sobą iść, zaprowadzili nas na komorę i tam kazali urzędnikowi, żeby nam wydał nasze cywilne rzeczy; dostaliśmy jeszcze po pół bochenka chleba i kostkę masła, a wieczorem, o wpół do ósmej, wypuszczono nas z więzienia.

Kiedy po obiedzie wywołano nas z cel na główny korytarz i ustawiono w rzędach, nadszedł główny komendant więzienia, Kohn, nazywany katem więziennym, spojrzał po nas, wskazał na mnie ręką i pyta, co ja tu chcę. Wtedy Werkmeister z introligatorni zasalutował mu i coś do ucha powiedział, a komendant machnął ręką i poszedł sobie. Znali mnie, bo raz zwiedzał więzienie Niemiec, dyrektor ogrodów w Kórniku, zauważył mnie i coś ze sobą o mnie gadali. Werkmeister oddał mi tego ostatniego dnia wielką przysługę; dla nas w introligatorni nie był najgorszy, starał się o więcej jedzenia dla nas, ale kiedy poszedł do krawców, to bardzo się nad nimi znęcał. Był później schwytany i uwięziony przez władze amerykańskie.

Wieczorem wypuszczono mnie z celi samego; cofnąłem się, bo bramy były zamknięte, ale że nikt nie nadchodził, więc idę. Wtedy otwiera się przede mną pierwsza brama, a urzędnicy stoją na baczność ze spuszczonymi głowami, otwiera się druga brama, a tam pełno walizek, wózków z dziećmi i kobiet lamentujących; były to żony urzędników i dozorców więzienia, dla których brakło ciężarówek, dozorczy zaś już wyszli z więz-

niami. Zawczasu już wiedzieliśmy, że będą uciekać, bo na parę tygodni wcześniej przynosili do naprawy te walizki; cieszyli się wtedy więźniowie i śmiali.

Gdy minąłem te kobiety i dzieci, otworzyła się przede mną trzecia brama i wyszedłem na miasto. Już wcześniej, widząc, na co się zanosi, umówiłem się z jednym więźniem z Rawicza, że jeśli nas wypuszczą, pójdę z nim do jego domu na ul. Dworcowej. Tymczasem jego pognali ze wszystkimi, a ja szedłem sam. Miasta nie znałem, kręciło się wszędzie pełno Niemców, bałem się dopytywać, aż zauważyłem jakichś dwóch panów już blisko ulicy Dworcowej, przeprosiłem i pytam, czy mogę o coś zapytać i czy mam mówić po polsku czy po niemiecku. A oni: „Po polsku, po polsku!” Więc zapytałem się o pana Grześkowiaka z firmy Korcz i o drogę do jego mieszkania. Było ono o parę kroków dalej, doprowadzili mnie, otworzyli drzwi, wpuścili i uciekli. Przedstawiłem się, kim jestem, przyjęto mnie gościnnie i tam się zatrzymałem na noc, ale spać nie było można, taki hałas czyniły uciekające wojska i czołgi. Na drugi dzień o godz. 11 przed południem wyprowadziły mnie córki pani Grześkowiakowej za Rawicz i odprowadziły kawałek. Po drodze spotkaliśmy ludzi w mundurach i ubiorach różnych narodowości, idących na dworzec. Byli to jeńcy, przeważnie oficerowie, którzy pracowali w jakiejś fabryce.

Ja szedłem dalej do Krobi pieszo 24 km. Nim doszedłem do bocznej szosy, miały mnie na głównej szosie od Ostrowa do Rawicza czołgi i zmotoryzowane wojska niemieckie; uciekająca ludność cywilna niemiecka musiała zjeżdżać do rowów; ja szedłem nad rowem, a i tak mnie o mało nie rozjechali. W Krobi zatrzymałem się i przenocowałem u kolejarza Zaremby. I oni odprowadzili mnie i wyprowadzili na drogę do Gostynia. Tam nocowałem już u krewnych mego zięcia, Andrzejewskich. W Gostyniu widziałem tę straszną ucieczkę wojska ukraińskiego, które służyło Niemcom; jechali na koniach chodnikami, a jak się kto nawinął, bili nahajkami. Spaliło się tam wtedy gimnazjum przez nieostrożność żołnierzy, którzy spowodowali wybuch amunicji.

Kiedy wieczorem już się położyłem, wchodzi p. Andrzejewski i mówi, że musimy uciekać, bo Niemcy będą wysadzać gazownię i most, a to było tuż blisko. Jednak udało się miastu obronić i nie dopuścić do tego, za to wysadzono wszystkie fabryczki broni, których było kilka wokoło Gostynia. Wszystkie szyby wystawowe wyleciały. Wybuch przerzucił mnie z jednego łóżka na drugie obok, p. Andrzejewskiego zaś rzucił na podłogę z wielką siłą; żona jego w płacz, musiałem ją uspokajać; na szczęście nic się poważniejszego nie stało. Ale za chwilę uciekający Niemcy, przechodzący koło domu, weszli i żądali kawy; gotowała im p. Andrzejewska tę kawę całą noc, ja jednak byłem tak zmęczony, że

spałem. Rano nakarmili mnie, obdarzyli na drogę i wyprowadzili na szosę do Dolska.

Między Gostyniem a Dolskiem doszedłem do gospodarstwa leżącego nad szosą na osobności i wstąpiłem, ażeby kupić sobie trochę mleka, a taka otyła gospośa odpowiada: „Mleka nie ma, bo już wszystko spuszczone”. — „To ja proszę o trochę kawy”. „Nie ma kawy”. — „To proszę trochę wody”. — „A skąd wyście są? Z Rawicza?” — „Tak, idę z Rawicza”. — „Wynoście mi się, wy rawiczniku, nic nie ma dla was”. Uśmiechnąłem się i zrozumiałem ją, bo wiem, że nieraz gospodarze byli okradani przez takich zwolnionych więźniów, a nawet puszczani z dymem.

Dochodziłem do Dolska z obawą, gdzie się też przenocuję, ale poradził mi jakiś spotkany człowiek, żebym się udał do państwa Paulów, których córki uczyły się w Szkole Dziewcząt w Kórniku. Odnalazłem ich i przyjęli mnie, i ugościli bardzo chętnie, tym bardziej że jedna z córek mnie poznała. Pan Paul, z zawodu mularz, był wielkim patriotą.

Rano poszedłem z panną Paul na magistrat poprosić o przepustkę, żeby mi nic w dalszej drodze nie groziło, ale burmistrz, już Polak, mówił, że nie może dać przepustki, bo między Dolskiem a Śremem pojawiają się jeszcze patrole niemieckie. Więc panna Paulówna odprowadziła mnie za Dolsk na drogę śremską i ruszyłem dalej. Uszedłem niedaleko i rzeczywiście spotkałem patrol, ale to byli Rosjanie okryci namiotem niemieckim. W połowie drogi, przed Śremem, spotkałem na szosie auto z dwoma oficerami radzieckimi i jednym polskim. Wyglądałem na starszka, więc mnie nawet nie zaczepili. Gdy byłem już blisko Śremu, zobaczyłem pędzącą do Śremu masę czołgów i ciężarówek. Wyminęły mnie, a gdy doszedłem do ulicy Dolskiej w Śremie, zobaczyłem straszne spustoszenie: na łące leżało zastrzelonych 17 Niemców, wszystkie wille postrzelane, pełno łusek od wszelkich pocisków i karabinów. Na rynku zobaczyłem kilku zabitych Rosjan; padli tam rano, do dnia, w bitwie między Niemcami a armią radziecką.

Było już późno, więc chciałem przenocować u państwa Gruszczyńskich, ale oni mi poradzili, aby iść dalej, bo w mieście może być niebezpiecznie i nie wiadomo, co będzie z mostem. Rzeczywiście, ledwie zdążyłem minąć most, już żądano przepustek. Tak doszedłem do Zbrudzewa i zatrzymałem się u tamtejszych gospodarzy, państwa Szafrąskich. Wieś cała zalana była przez uciekinierów niemieckich, którzy się cofali od Śremu, tu sobie zrobili obozowisko i paśli konie. Gospodarze postanowili ratować resztę paszy i wysłali kogoś do Śremu o pomoc, ale tam nikt nie mógł im dać żadnej pomocy, mieli sobie sami radzić. Wieś ukrywała już po stodołach wielu Polaków, zebrali się więc wszyscy i razem z gospodarzami rozbili Niemców, którzy się wy-

cofali z powrotem, w stronę swoich dawnych gospodarstw. Ale tam, na drogach, wpadli w ręce wojsk radzieckich. Rano, gdy wstałem, Niemców już nie było. Szedłem dalej pieszo w stronę Kórniku; szosą jechała cała masa wojska rosyjskiego. Tak doszedłem do Czmonia, a stamtąd przyjechałem już na heli do Kórniku, w samo południe. Wielka była radość rodziny, a mała sierotka po Mistrzaku, która miała wtedy niewiele ponad półtora roczku, gdy się rozbierałem, ukłękła i umyła mi nogi. Potem na swoim łóżeczku ukłękła pod obrazkiem i mówi: „Bozinka, wiesz, dziadzia wrócił”.

Leżałem prawie chory z tego przemęczenia, ale drugiego dnia już wstałem, bo przysłała p. Jasińska, opowiedziała, co się dzieje z zamkiem, i zapytała, czy mam siłę, żeby iść z nią i ratować zamek. Odpowiedziałem, że oczywiście, i tak się zaczęła kilkutygodniowa walka o ratowanie zbiorów, ale to są już rzeczy znane i gdzie indziej opisane¹⁰⁷.

Spisała i przygotowała do druku
Stanisława Jasińska

¹⁰⁷ Biblioteka Kórnicka w okresie okupacji od r. 1939—1945 (S. Jasińska); Sprawozdanie z prac w Bibliotece Kórnickiej za okres od 22 stycznia 1945 r. do 30 czerwca 1945 r. (S. Bodniak), „Pamiętnik B. K.”, 1946, z. 3.